

EILEEN WILKS

Niewłaściwa żona

Tytuł oryginalny: The wrong wife
Seria wydawnicza: Harlequin Desire (tom 328)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czyjaś głowa spoczywała na poduszce obok niej.

Cassandry nie przeraził ten widok. Poranek nie był porą sprzyjającą szybkim reakcjom i logicznemu myśleniu. Znała ten profil. Ale czyja noga tak poufale zaplątała się pomiędzy jej nogi?

Ta kwestia wydała się jej na tyle interesująca, że Cassie zmarszczyła czoło i zamrugowała oczami.

Głowa miała bardzo szlachetny kształt. Nie nazbyt okrągły, kanciasty czy podłużny, lecz dokładnie taki, jak być powinien. Włosy, miękkie i gęste, w promieniach budzącego się dnia połyskiwały kruczą czernią. Cassie uśmiechnęła się. Niezależnie od pory dnia, włosy Gideona zawsze były piękne.

Gideona?

Jej serce zatrzymało się na chwilę, a potem zaczęło walić z szaleńczym pośpiechem. Gideon. Gideon Wilde. To głowa Gideona spoczywała na poduszce, zaledwie o kilkanaście centymetrów dalej.

Przecież doskonale znała kształt jego głowy, kolor włosów i linię szyi oraz karku.

Szerokie barki przechodziły w mocne plecy, które odtwarzać mogła jedynie z pamięci, gdyż nie zamierzała okazywać teraz, jak bardzo fascynuje ją jego osoba. To były plecy Gideona, gdyż on sam leżał na brzuchu w tym ogromnym dziwnym łóżku, wyciągnięty niczym syty kot w słoneczny dzień.

I chociaż w tej chwili nie mogła zobaczyć nic więcej, gdyż resztę ciała leżącego obok mężczyzny spowijało prześcieradło, logika sugerowała, że noga, tak intymnie przyściśnięta do jej nogi, również należy do Gideona. Muskularne udo Gideona przyciśnięte do jej nagiego...

Fala gorąca i wstydu ogarnęła Cassie, kiedy zdała sobie sprawę, czego nie ma na sobie. Podobnie jak Gideon. Do jej świadomości zaczęły wracać obrazy z wczorajszego dnia i... nocy.

Pamiętała, jak w biurze jej brata zadzwonił telefon. Wraz z Ryanem pojechali później na spotkanie z Gideonem w Blue Parrot Lounge. Pamiętała spędzone tam godziny, podróż na lotnisko, jaskrawe światła Las Vegas, a potem... noc. Pamiętała ją bardzo dokładnie. Ponad szerokimi barkami, które częściowo przysłaniały jej widok, wyłaniały się smukłe, połączane meble luksusowego apartamentu. Ich lśniąco kształty przywoływały na myśl opowieść o Kopciuszku. W nogach łóżka stała disnejowska wersja pirackiego kufra pomalowana na jasny, pastelowy kolor. Na wieku leżał jej bukiet. Kremowe róże,

orchidee i róże o ton jaśniejsze niż rumieniec, jaki okrył jej policzki, gdy przypomniała sobie wydarzenia sprzed paru godzin.

O, tak, to był z pewnością wyjątkowy ranek. Twarz Cassie rozjaśnił radosny uśmiech, kiedy przysunęła się bliżej do leżącego obok mężczyzny.

Jej ruch obudził go. Gideon Wilde wydał przeciągły, gardłowy jęk. Przewrócił się na plecy, ciężkim ramieniem trącąc przy tym brodę Cassie.

- Auu!

Uniósł gwałtownie powieki, by po chwili znów zacisnąć je mocno. Towarzyszył temu cichy, żalony jęk.

Zdawała sobie sprawę, że Gideon dużo wczoraj wypił; zarówno przed telefonem do jej brata, jak i później. Wiedziała, że rzadko pozwalał sobie na więcej niż jednego drinka, teraz więc musiał być w wyjątkowo kiepskiej formie. Mimo to powinien bardziej uważać na to, co robi z rękami. Cassie zmarszczyła czoło, potarła brodę i odsunęła się na bok o kolejnych kilka centymetrów.

Znów uniósł powieki. Spojrzał na Cassie. Wyglądał fatalnie. To znaczy, Gideon nigdy nie wyglądał naprawdę okropnie, tym razem jednak zdecydowanie przywołał na myśl kowboja z reklamy Marlboro, wracającego do domu po nocnej hulance. Jego ciemne oczy były zmętniałe, a szlachetnie wykrojone usta skrzywione. Gideon normalnie sprawiał wrażenie człowieka zrównoważonego i pewnego swych racji. Cywilizowane maniery pomagały mu w kontaktach z ludźmi, którzy inwestowali wielkie pieniądze w prowadzone przez niego interesy związane z ropą i gazem.

Ale nie dzisiejszego ranka. Przekrwione, zmęczone oczy i cień zarostu nie sprzyjały zachowaniu wyniosłości. Cassie uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dzień dobry - szepnęła.

Jego źrenice rozszerzyły się, a potem w oczach pojawił się wyraz bezbrzeżnego przerażenia.

- O, mój Boże.

Prawie udało się jej uciec.

Reakcje Gideona były stłumione przez poczucie winy i najgorszego kaca, jakiego doświadczył w życiu. Cassie wraz z prześcieradłem była już na brzegu łóżka, kiedy Gideon zorientował się, że za chwilę zostanie w łóżku sam i to bez żadnego przykrycia. A był nagi. Nagi, w łóżku z młodszą siostrą swojego najlepszego przyjaciela.

Chwycił brzeg prześcieradła i pociągnął. Cassie opadła z powrotem na łóżko, tracąc równowagę. Materac drgnął pod jej ciężarem. Gideonowi udało się nie wymiotować.

Zamknął podrażnione światłem oczy, poprawił prześcieradło i leżał bez ruchu, modląc się do ducha, by Cassie znów nie zaczęła się wiercić.

Po dłuższej chwili pokój i żołądek Gideona przestały wirować, choć ekipa prowadząca remont wewnątrz jego czaszki nie przerwała pracy. Zauważył, że Cassie nie poruszyła się i nie powiedziała słowa od momentu, kiedy udaremnił jej ucieczkę.

Próba ucieczki, emocjonalna i impulsywna, była typowa dla niej, lecz milczenie i bezruch zdecydowanie nie.

- Cassie - mruknął, nie otwierając oczu. Dźwięk głosu rozniósł się w jego głowie bolesnym echem.

- Przepraszam. - Przepraszam? W tej chwili znienawidził samego siebie. Bardziej nawet niż własnego ojca. - Ja nie... Cokolwiek się stało, przepraszam.

- Cokolwiek się stało? - Głos Cassie był drżący i niepewny. - Nie pamiętasz?

Jego myślowy krajobraz był kompletnie zburzony. Próbował poukładać oderwane fragmenty. Zrozumieć, skąd wziął się w tym miejscu. Jak znalazł się w tym łóżku z Cassie? Przecież to miała być Melissa...

Ale Melissa rzuciła go. Cztery dni przed ślubem zadzwoniła i w raczej histeryczny sposób oznajmiła, że zrywa zaręczyny.

Nie zniósł tego dobrze. Wciąż jeszcze odczuwał gniew i zdumienie. Był przyzwyczajony zawsze dostawać to, czego chciał. A chciał ożenić się z Melissą. Kiedy zaś ona poznała go lepiej, zdecydowała, że nie chce za niego wyjść. Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego.

Zadzwoniłem do Ryana, przypomniał sobie. Był wczoraj w Blue Parrot i po kilku drinkach postanowił urządzić stypę marzeniom, które Melissa zniszczyła, porzucając go. Zerwanie zaręczyn było jego pierwszą poważną życiową porażką. Ten ślub planował od wielu lat, na długo przed poznaniem Melissy, i był przyzwyczajony zawsze osiągać to, co sobie założył. Czyż nie zrealizował dotąd wszystkich wyznaczonych sobie celów, począwszy od uniwersyteckiego dyplomu aż po obecny sukces finansowy? Jednak dotychczasowe wysiłki miały prowadzić do tego jednego, najważniejszego celu, który, niestety, nie zależał tylko od niego. Stworzenia rodziny.

Kiedy wpadł na pomysł stypy, naturalnie pomyślał o Ryanie.

Z Ryanem przyjechała jego siostra, mała rudowłosa Cassie, z oczami, w których zawsze płonęły dwa maleńkie ogniki.

- Nie powinien był cię przyprowadzać - oświadczył szorstko Gideon, przerażony tym, że nie pamięta nic z tego, co zdarzyło się później. Znaczyło to, że stracił kontrolę: musiał wypić o wiele więcej, niż zamierzał. Gideon zawsze dotąd był panem sytuacji.

- Mielicie spotkać się po to, żeby pić. Czy nie dlatego po niego zadzwoniłeś? Żeby mieć z kim wypić? Więc przyjechałam, żeby odwieźć was później do domu. Żebyście nie narobili głupstw.

To właśnie zawsze mówiła, jeszcze jako natrętny dzieciak, kiedy próbowała towarzyszyć wszędzie dwóm dorosłym chłopakom, studentom college'u: że potrzebują jej, żeby nie wpakować się w kłopoty. Oczywiście, wtedy właśnie popełnianie głupstw sprawiało im największą przyjemność. Nazywał ją...

- Syrenka - powiedział głośno z dziwnym wzruszeniem. Przynajmniej te wspomnienia pozostały nienaruszone.

- Nie nazywaj mnie tak! Nie po... nie, kiedy nie pamiętasz!

Skulił się. Nie po zeszłej nocy. Nie po tym, jak upił się do tego stopnia, by zabrać siostrę najlepszego przyjaciela do jakiegoś przekłętego hotelu i tam ją wykorzystać. Był taki czas, niedługo po tym, jak Cassie skończyła szesnaście lat, kiedy obawiał się, że coś takiego może się zdarzyć. Jego ciało reagowało wtedy w sposób nie kontrolowany na widok nowych, słodkich wypukłości u dziewczynki o wiele za młodej, by uczestniczyć w lubieżnych scenach, jakie podsuwała mu wyobraźnia. Ale Gideon zawsze wiedział, jak należy się zachować. Nauczył się kontrolować swój umysł; ostatecznie potrafił na tyle stłumić najgorsze z impulsywnych reakcji swojego ciała, by przebywać w towarzystwie małej Cassie bez obawy, że uczyni coś, co ją przestraszy, zawstydzi i narazi na szwank ich przyjaźń.

Teraz jednak...

- Jak Ryan mógł na to pozwolić? - jęknął. - Gdzie, u diabła, był twój brat?

- Nic nie pamiętasz? - Jej głos łamał się. - To był jego pomysł.

Co?! Gideon otworzył oczy i z trudem przyjął pozycję siedzącą. Brygada remontowa natychmiast zaatakowała jego gałki oczne. Opadł z powrotem na plecy i odetchnął głęboko. Powoli. Ostrożnie. Kolejne kawałki wspomnień wczorajszego dnia wracały na swoje miejsce.

Pomysł Ryana. To był pomysł Ryana, by wynająć samolot czarterowy, kiedy spóźnili się na ostatni lot. Czy też on sam to wymyślił? Nie był pewien. Wypił tak dużo, że w nicości zatraciły się całe fragmenty jego życia. Ogarnęło go uczucie pogardy wobec samego siebie. Musiał je zwalczyć, by znów skierować uwagę na wspomnienia, które pozostały.

Absurdalnie, najbardziej pamiętał statek piracki i bitwę, jaka rozgorzała, gdy bandyci przy huku armat zaatakowali statek przepływający... pod oknami hotelu?

Wystrzały były odgłosami fajerwerków, nie pocisków, a walka jedynie starannie wyreżyserowanym przedstawieniem. Pamiętał hotelowy hol, ogromny i roziskrzony refleksami światła odbitymi w złotych ornamentach. W wypolerowanej posadzce można było zobaczyć własne odbicie. Pamiętał też Cassie, szczupłą i ciepłą, przytuloną do jego ramienia. Nie chciał puścić jej nawet na chwilę, bo bał się, że może zmienić zdanie. Przypomniał sobie jazdę taksówką i twarz Cassie, pobladłą od zdenerwowania. Opłata za kurs wyniosła dwanaście dolarów. Dał kierowcy dwadzieścia i poprosił, by na nich zaczekał.

- Vegas - powiedział cicho. - Jesteśmy w Las Vegas.

Milczenie Cassie stanowiło wystarczające potwierdzenie. Prawie wystarczające. Po dłuższej chwili odważył się wykonać ostrożny ruch: przekręcił się na bok i oparł na łokciu głowę, w której pneumatyczne młoty pracowały teraz na najwyższych obrotach. Zerknął na Cassie. Krótkie, miękkie włosy obejmowały jej trójkątną twarz w aureole koloru wschodzącego słońca. Wyraziste oczy były teraz ciemnoszare i lśniące od łez. Jeszcze do wczoraj gotów był przysiąc, że te oczy są równie szczere i niewinne jak sama Cassie.

Rozczarowanie było bardzo bolesne. Powędrował wzrokiem po smukłej szyi do gładkich, białych ramion obsypanych delikatnymi, kremowymi piegami. Ku wielkiej irytacji Gideona jego ciało zareagowało natychmiast na ten widok, wywołując na jego czole zmarszczki niezadowolenia. Przeniósł spojrzenie na jej małe piersi, zasłonięte teraz prześcieradłem, które przytrzymała mocno w zaciśniętej pięści. Na serdecznym palcu jej lewej ręki połyskiwała złotem cienka obrączka.

- Gratulacje, pani Wilde. - Zabrzmiąło to zimno i gorzko. - Kilka już próbowało uzyskać prawo do podpisywania czeków tym samym, co moje, nazwiskiem, ale nigdy nie spodziewałbym się tego po tobie. Ile będzie kosztowała mnie ta szopka?

Cassie uniosła się i trafiła pięścią prosto w jego nos.

Stojąc pod gorącym strumieniem prysznicza kilka minut później, Cassie wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku. Nigdy dotąd nikogo nie uderzyła. Przynajmniej od czasu bójki z Sarą Sue Leggett, kiedy ta obwieściła całej piątej klasie, że Cassie kupuje ubrania w sklepiku Armii Zbawienia.

Powinna się wstydzić. Naprawdę powinna. Człowiek najwyraźniej cierpiał z powodu straszliwego kaca, a ona go uderzyła.

Och, miała nadzieję, że przynajmniej rozkwasila mu nos. Z chęcią zużyłaby całą ciepłą wodę, tak by Gideon musiał kąpać się w zimnej, lecz w luksusowym hotelu Las Vegas raczej nie było na to szans.

Las Vegas. Cassie przygryzła wargi i nalała na dłoń trochę szamponu.

Spodziewała się, że Gideon może żałować rano tego, co zrobił poprzedniego dnia, nie sądziła jednak, że zareaguje aż tak gwałtownie. W ciągu szesnastu lat od dnia, kiedy Ryan po raz pierwszy przyprowadził do domu swego szkolnego kolegę Gideona Wilde'a, Cassie widywała już ten lodowaty wyraz na jego twarzy. Nie znosił głupców, gardził nieuczciwością. Nigdy jednak nie potraktował w ten sposób jej.

Szampon pachniał migdałami i cudownie się pienił. Hotel zaopatrywał gości w kosmetyki lepszej jakości niż te, które zazwyczaj kupowała. Cassie westchnęła i pogładziła kciukiem krążek błyszczący na palcu. Gideon sądził, że poślubiła go, by móc pozwolić sobie na lepszej jakości szampon.

Jak mogła być tak głupia? Dlaczego dała się na to namówić? Byli w Blue Parrot, małej obskurnej knajpcie, którą Gideon i Ryan upodobali sobie jeszcze za studenckich czasów, gdy nie było ich stać na lepsze lokale. Może właśnie to miejsce, naznaczone nostalgią, spowodowało, że rozmowa potoczyła się w ten sposób. Z każdą godziną Ryan popadał w coraz bardziej irlandzki i sentymentalny ton i obaj mężczyźni wypili znacznie więcej alkoholu, niż zdarzało się to im normalnie.

Cassie podejrzewała jednak, że Ryan wypił mniej, zachęcając przy tym przyjaciela, by ten wlał w siebie o wiele więcej trunku. W jego oczach dostrzegła ten chytry błysk, który nieodmiennie zwiastował kłopoty. Jej brat miał wdzięk słonia, który robi najwięcej hałasu, gdy próbuje przemykać na palcach. Nie, w jej rodzinie subtelność zdecydowanie nie była cechą dziedziczną.

Gideon był jednak zbyt oszołomiony alkoholem, by zaniepokoił go wyraz oczu przyjaciela.

- Zamorduję go - mruknęła Cassie, energicznie masując skórę głowy. Brat kochał ją. Wiedziała o tym. Ale też doprowadzał ją do szału. Ich ojciec zmarł, kiedy Cassie była malutka. Matka musiała radzić sobie sama, utrzymując rodzinę ze skromnej kelnerskiej pensji. Ryan, o sześć lat starszy, wziął na siebie troskę o los siostry.

Do wczoraj. Wczoraj zdecydował się przekazać odpowiedzialność za Cassie swojemu najlepszemu przyjacielowi, który potrzebował bardziej zrównoważonej kobiety niż ta lodowa księżniczka, z którą był zaręczony. Kobiety lojalnej. Kobiety, podkreślił Ryan, która umie gotować.

W tym momencie Cassie próbowała go uderzyć, ale nawet pijany, Ryan miał lepszy refleks niż ona.

Dobrze, pomyślała, splukując z włosów pianę, że zachował dla siebie refleksje na temat jej stanu uczuciowego. Przynajmniej nie wyjawiał głośno, dlaczego był tak pewien, że ona zgodzi się na jego plan. Ryan wiedział bowiem doskonale. I to od lat.

Zastanawiała się, czy powinna pozwolić mu przeżyć.

Oczywiście, nie puścił pary dlatego, gdyż uznał, że wyjawienie uczuć może jej tylko zaszkodzić w oczach Gideona. Gideon nie ufał silnym emocjom. Był pod tym względem oziębły, co czyniło go mężczyzną całkowicie dla niej nieodpowiednim. Potrzebowała kogoś ciepłego i kochającego, kogoś, kto potrafiłby odwzajemnić jej miłość. Ona sama dawno to zrozumiała i od lat starała się przekonać o tym... swoje serce.

Och, jeśli miała jeszcze jakieś iluzje, Gideon skutecznie rozwiązał je poprzedniego dnia. W przeciwieństwie do Ryana, pod wpływem alkoholu Gideon stawał się cichy i poważny. Z ponurą miną wysłuchiwał argumentów jej brata, po czym odwrócił się do Cassie i oświadczył... Tak właśnie, oświadczył, nie zaproponował:

- Do Las Vegas możemy polecieć dziś wieczorem. W ten sposób uda mi się ożenić w wyznaczonym terminie.

Oczywiście odmówiła. Powiedzieć „nie” było łatwo. Tylko w jakiś sposób ostatecznie znalazła się tutaj, naga, w hotelu Las Vegas z obrączką Gideona na palcu. I, jak zauważyła, namydlając się obficie, z uczuciem dziwnego obrzmienia w bardzo intymnym miejscu.

Nie będzie płakać. Przestała płakać za Gideonem Wilde'em osiem lat temu, kiedy doświadczyła najgorszego dla kobiety upokorzenia. Od tamtego czasu jedynie wiadomość o zaręczynach z lodową księżniczką wycisnęła z niej trochę łez, ale to się nie liczyło. Nie mogła winić się za tamtą noc.

Za to z pewnością wina za wydarzenia ostatniej nocy, kiedy Gideon był pijany i rozpalony, spoczywała na niej. I za dzisiejszy ranek, kiedy ją znienawdził.

Nigdy więcej, postanowiła, wychodząc spod prysznicza, w którym i tak nie zabrakłoby gorącej wody, choćby nie wiem jak przedłużyła swoją kąpiel. Popełniła błąd, ogromny błąd, ulegając za namową brata mężczyźnie, w którym wciąż na nowo zakochiwała się i odkochiwała, odkąd skończyła dwanaście lat.

Och, to nie była miłość, poprawiła siebie w myśli, lecz pożądanie. Nie mogła kochać człowieka, który nawet nie pamiętał ich nocy poślubnej. Jej problem polega na tym, doszła do wniosku, owijając się ręcznikiem dwa razy większym, niż jakikolwiek posiadany przez nią samą, że jej hormony od bardzo wczesnego wieku, właściwie od momentu, kiedy jej organizm w ogóle zaczął je produkować, reagowały wyjątkowo burzliwie na osobę Gideona Wilde'a. I mimo wielu prób nigdy nie udało się jej tego zmienić.

Pora dorosnąć. Gideon zawsze umiał zachować chłód i trzeźwość osądu. W ten sposób, według słów Ryana, wybrał sobie narzeczoną. Kierując się logiką. Melissa Southwark reprezentowała wszystko to, czego Gideon pragnął. Była zimną i perfekcyjną blond pięknnością, z której emanowała pewność siebie, jaką daje doświadczenie.

Cóż, ona także potrafi myśleć logicznie. Zapanuje nad swoimi hormonami. Od tej chwili stanie się inną kobietą. Zimną. Rozsądną. Opanowaną.

Przede wszystkim musi naprawić popełniony zeszłej nocy błąd. Słowo „rozwód” brzmiało jednak wyjątkowo nieprzyjemnie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że byli małżeństwem zaledwie przez jedną noc. Jeśli zastanowić się nad tym spokojnie, ta jedna noc naprawdę nie miała znaczenia.

Anulowanie, postanowiła, wciągając dzinsy, w których parę godzin wcześniej wzięta ślub, będzie o wiele lepszym rozwiązaniem. Choć może nie być łatwo przekonać o tym Gideona. Była jedna jedyna sfera, w której nie zawsze kierował się tylko i wyłącznie wyrachowaniem: gdy sprawa dotyczyła jego, jak nazwano by to kiedyś, honoru, Gideon stawał się głuchy na głos rozsądku. Ten mężczyzna nie kłamał i nie łamał danego słowa. Nigdy.

Musi przekonać go, zaświtła jej w głowie genialna myśl, że kontrakt, który zawarli wczoraj, jest nie obowiązujący.

Cassie uśmiechnęła się, dumna ze swego sprytu.

- Chyba żartujesz - stwierdził Gideon. Stał przy zaciągniętych zasłonach okna. Miał na sobie zmięte ubranie i głęboką zmarszczkę na czole.

Nie cierpiał czuć się brudny i nieświeży. Nienawidził kwaśnego smaku w ustach, koszuli cuchnącej dymem i alkoholem, szumu w głowie. Cassie zamknęła się w łazience chyba

na całą wieczność, a służba hotelowa wciąż nie zdążyła przynieść kawy, aspiryny oraz śniadania, czego pożądał. Wciąż też nie udało mu się odtworzyć wszystkich wydarzeń zeszłej nocy. Jeden z obrazów, jakie podsunęła mu pamięć, przedstawiał łóżko, ciemność, Cassie i bardzo realne odczucie przemożnego pożądania. Ten fragment unosił się samotnie w morzu niewiedzy. Nie pamiętał niczego, co wydarzyło się wcześniej czy później.

Oczywiście, utrata świadomości pod wpływem alkoholowego zamroczenia nie stanowiła żadnego usprawiedliwienia. Jego żona jednak nawet w ten sposób nie mogła wytłumaczyć swego postępowania. Cassie widziała, że jest pijany. Wiedziała, jakiej potrzebuje kobiety. Czyż nie mówił tego wyraźnie zarówno jej, jak i Ryanowi, kiedy opijali ślub, który nie doszedł do skutku? A jednak mimo wszystko zgodziła się za niego wyjść.

Postał jej gniewne spojrzenie.

Cassie zdecydowanym krokiem podeszła do okna, przy którym stał.

- Mam nadzieję, że szybko podadzą śniadanie. Musisz mieć bardzo niski poziom cukru, co źle wpływa na twoją zdolność logicznego myślenia. Oczywiście, anulujemy ślub. -

Jednym mocnym ruchem rozsunała zasłony, zalewając pokój jasnym, słonecznym blaskiem, którego przezroczyste firanki nie tłumili w najmniejszym stopniu.

- No, teraz lepiej. Poranki na pustyni są piękne, prawda?

Gideon zmrużył oczy, chroniąc źrenice przed niespodziewanym atakiem. Promienie słońca rozświetliły włosy Cassie ognistym blaskiem, który powinien rażąco kontrastować z pomidorową czerwienią wsuniętej w dzinsy bluzki, lecz zamiast tego czynił jedynie jej odcień głębszym i cieplejszym. Żywe kolory zdecydowanie lepiej pasowały do Cassie niż mdłe pastele.

Melissa, pomyślał Gideon, a zmarszczka na jego czole pogłębiła się, nigdy nie nałożyłaby czegoś tak jaskrawego. Melissa wołała miękkie błękity i beże, które podkreślały jej naturalnie jasną karnację. Nigdy też nie odstąpiłaby okna bez pytania. Gideon był o tym przekonany.

- Nie mam najmniejszych kłopotów z logicznym myśleniem. Za to ty... - Cierpliwość, przypomniał sobie, jest konieczna, by nie stracić panowania nad sytuacją. - Cassie, musisz wiedzieć, że nie można anulować małżeństwa, jeśli zostało skonsumowane.

- Tak uważasz? - Oparła ręce na biodrach, a w jej wzroku czaiło się wyzwanie.

- Rozumiesz chyba, że po ostatniej nocy...

- Sądziłam, że nie pamiętasz zeszłej nocy... Całym wysiłkiem woli starał się zachować spokój.

- Nie pamiętam, lecz kiedy budzę się rano nagi w łóżku z kobietą, która jest również naga, nie potrzebuję nagrania wideo, by wiedzieć, co zdarzyło się wcześniej.

- Cóż - zaczęła - przykro mi to mówić, ale bardzo dużo wczoraj wypiteś, Gideonie. Nie jesteś do tego przyzwyczajony. Nie wolno ci się tym przejmować, ale twoje męskie możliwości były znacznie ograniczone.

- Moje możliwości?

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Chcesz powiedzieć, że nie... że odpuściłem?

- Nie do końca. Próbowaleś, oczywiście, ale nie byłeś w stanie niczego uczynić. -

Podeszła bliżej i poklepała go po ramieniu. Złota obrączka na jej palcu pobłyskiwała szyderczo. - Wszystko jest w porządku. Naprawdę nie powinieneś się martwić.

Cofnął się, patrząc na nią ze złością. Uśmiechnęła się słodko.

- Nie przejmuj się. Jestem pewna, że to nic poważnego. Anulowanie małżeństwa będzie znacznie łatwiejsze niż rozwód.

Gideon z ulgą przyjął pukanie do drzwi. Gorąca kawa, czysta koszula i rozważenie słów Cassie przy śniadaniu stanowiło znacznie przyjemniejszą perspektywę niż dalsze prowadzenie rozmowy w obecnych okolicznościach.

Mężczyzna po drugiej stronie drzwi bardzo przypominał Gideona, ale też i różnił się od niego. Miny obu panów były jednakowo ponure, lecz zaciśnięte gniewnie usta przybysza zdobiły gęste wąsy. Był tak wysoki jak Gideon i odrobinę masywniejszy. Miał jasne włosy.

- Chcę rozmawiać z siostrą - warknął gniewnie. - Natychmiast!

Gideon westchnął. Czego można było spodziewać się po takim poranku jak ten? Ustąpił na bok, pozwalając przejść mężczyźnie, którego aż do dzisiaj uważał za swojego przyjaciela.

Ryan wtargnął do środka.

- Cassie - zaczął, ruszając w stronę siostry. - Cassie... Wyciągnęła przed siebie ramię, jakby rzeczywiście była w stanie powstrzymać swego brata.

- Tym razem cię zabiję - oznajmiła zimno. Ignorując zarówno jej gest, jak i słowa, chwycił ją za ramiona i przyjrzał się z troską.

- Nic ci nie jest?

- Nie. Zostałam wykorzystana zbyt wiele razy, by to zliczyć. Przestań grać...

Gniewny pomruk, jaki wydobył się z gardła Ryana, wcale nie brzmiał zabawnie. Gideon stał się czujny.

Cassie przytrzymała ramię brata, kiedy ten zwrócił się w stronę Gideona.

- Nie pozwolę na to, czy mnie słyszysz? Nie pozwolę, żebyś atakował Gideona. Wczoraj byłeś bliski zaproponowania kilku krów i koni, byle tylko on zdjął z ciebie brzemię troszczenia się o mnie, a dzisiaj zjawiasz się tutaj, oskarżając go o uprowadzenie siostry! Co, u licha, jest z tobą nie tak?

Ryan nie wydawał się już tak pewny siebie.

- Wczoraj za dużo wypłem. To nie...

- To żadne usprawiedliwienie! Chcę wiedzieć... - Cassie nagle zamilkła, spoglądając na Gideona. - Pozwolisz? - spytała poirytowana. - Chciałabym przez chwilę porozmawiać z Ryanem na osobności.

Mógł poczuć się obrażony tą prośbą bądź rozbawiony. Nieraz już uśmiechał się, obserwując, jak rodzeństwo O' Gradych odnosi się do siebie. Okazywali sobie na przemian wrogość i miłość, ale zawsze byli wobec siebie lojalni.

- Obawiam się - odparł Gideon - że nie pozwolę. Pukanie do drzwi na chwilę wybawiło ich wszystkich z kłopotu. Serwis hotelowy nareszcie sobie o nich przypomniał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Brat i siostra sprzeczali się szeptem, gestykułując przy tym gwałtownie, podczas gdy kelner nakrywał stół do śniadania. Gideon nie wszedł do łazienki, by wziąć prysznic i zmienić ubranie, czego wcześniej tak bardzo pragnął. Po prostu nie chciał opuszczać w tej chwili pokoju.

Patrzył, jak Ryan nalewa sobie kawę do filiżanki, a Cassie bierze do ręki rogalik. Żadne z nich nie zdecydowało się usiąść. Kiedy podpisywał rachunek i dawał kelnerowi napiwek, słyszał, jak Cassie przekonuje brata, że nie ma prawa winić Gideona za wczorajsze wydarzenia.

Nie pamiętał, by ktokolwiek dotąd go bronił. Jego organizm zareagował natychmiast. Fala pożądania napłynęła nagle i niespodziewanie.

Pragnął Cassie: Bardzo. Nadal uważał, że wiele stracił, poślubiając niewłaściwą kobietę; był zły zarówno na siebie, jak i na nią. Czuł się zdradzony, a jednak pragnął Cassie wszystkimi zmysłami.

Nie potrafił oderwać od niej wzroku. Cassie całą sobą angażowała się w to, co mówiła. Miała zupełnie inną urodę niż Melissa. Była niska, filigranowa i... fascynująca. Podwinęła rękawy jedwabnej bluzki, a widok jasnej skóry ramion podniecił go tak, jakby Cassie odstąpiła piersi. Uznał to za śmieszne. Lecz i bardzo ekscytujące.

Może w jego świadomości nie zachowały się wspomnienia zeszłej nocy, lecz jego ciało wiele pamiętało. Jeśli rzeczywiście, jak twierdziła Cassie, nie był w stanie skończyć tego, co rozpoczął, jego podniecenie mogło być wynikiem rozbudzonej i nie zaspokojonej żądzy.

Gdyby mógł posiąść ją choć raz, pomyślał z żalem i nieoczekiwaną tęsknotą.

Cassie przestała na chwilę mówić, by starannie rozsmarować na rogaliku cienką warstewkę masła. Choć tak często działała impulsywnie i pod wpływem emocji, była w niej potrzeba utrzymania porządku i piękna. Nigdy nie próbował nawet jej zrozumieć.

Patrzył teraz na Cassie, lecz przed oczami miał obraz małej dziewczynki z potarganymi warkoczycami i roziskrzonymi oczami.

Gideon przyjął zaproszenie kolegi z akademika, by pojechać wraz z nim na weekend do jego rodzinnego domu. Nie było łatwo namówić go do tej podróży. W wieku osiemnastu lat Gideon nie miał czasu na kultywowanie przyjaźni. Nie tylko uczył się, ale i pracował. Ciotka Eleanor uznała, że dorywcza praca w trakcie studiów będzie dla niego doskonałym doświadczeniem. Jeśli Gideon nie pracował, nie miał co jeść.

Ryan O'Grady, choć na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie pogodnego i niezgrabnego niedźwiedzia, był prawie równie ambitny, tak samo uparty i znacznie biedniejszy niż Gideon. Ostatecznie Gideon uległ więc namowom kolegi i wybrał się wraz z nim do Dallas, gdzie w dużym mieszkalnym wozie żyła rodzina O'Gradych. Zanim dotarli na miejsce, Gideon całym sercem żałował już, że zgodził się na tę wyprawę.

Nie odstraszało go ubóstwo. Zdarzało mu się mieszkać w o wiele gorszych warunkach, zanim przygarnęła go ciotka. W miejscach, gdzie nikomu nie chciało się przycinać trawy lub wystawiać na ganku doniczkowych kwiatków, jak zrobił to ktoś tutaj. Obawiał się tej wizyty, ponieważ nie wiedział, jak zachować się przy spotkaniu normalnej rodziny.

- Ryan! - dobiegł ich radosny okrzyk. - Tak się cieszę, że już przyjechałeś! Ale muszę cię ostrzec. - Głos zniżył się do poufatego szeptu. - Mama gotuje od samego rana.

Gideon uniósł głowę, by napotkać błyszczące oczy małej syrenki. Dość brudnej i potarganej syrenki, która siedząc na dachu ruchomego domu, wymachiwała bosymi nogami o poobcieranych kolanach.

- Czy to źle? - spytał, nie potrafiąc ukryć zdumienia i ciekawości.

Skinęła głowę.

- Potem trzeba to zjeść, rozumiesz. - Obejrzała go dokładnie i jej oczy rozbiły się. - Ty chyba możesz dużo zjeść.

- Bez wątpienia - odrzekł Ryan i wyciągnął w górę ramiona. - Potrafi zjeść za trzech. Mama będzie zachwycona. Zejdź stamtąd, urwisie, i przywitaj się z gościem. Nie namyślając się długo, dziewczynka wyciągnęła przed siebie chude ręce i zeskokczyła, nie patrząc nawet w dół. Gideon nigdy nie zapomniał wyrazu jej twarzy, kiedy wylądowała bezpiecznie w ramionach brata. Zaufanie. Całkowite i bezwarunkowe zaufanie.

Nie, Gideon nie umiał zrozumieć Cassie. Ani jako małej dziewczynki, ani jako dojrzałej kobiety, która stała teraz w luksusowym apartamencie hotelu Las Vegas, kłócąc się z bratem i rozsypując okruchy bułki na puszysty dywan. Wiedział jednak dobrze, co znaczy odpowiedzialność.

- Ryaniu - powiedział, uznając, że nadszedł czas, by ustalić pewne kwestie. - Nie przyszedłeś chyba tutaj, by kłócić się z Cassie.

Przyjaciel spojrział na niego.

- Nie - zgodził się z powagą. - Przyszedłem, by sprawdzić, czy nie trzeba ci pogruchotać kości.

Cassie fuknęła, zniecierpliwiona, lecz nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Sądziłeś, że mogę zrobić jej krzywdę?

- Byłeś pijany - odparł Ryan. - Ja także, bo inaczej nie pozwoliłbym jej pójść z tobą, kiedy byłeś w takim stanie.

Gideon skinął głową.

- I co powiedziała?

- Twierdzi, że nie zrobiłeś jej krzywdy. Pozostaje więc pytanie, co planujesz?

Gideon milczał. Co zamierzał? Dopóki Cassie nie zaproponowała, by anulowali ślub, wszystko wydawało się jasne. Poczył pewne zobowiązania. Nieważne, że był wówczas pijany. Nawet jeśli, tym bardziej powinien być odpowiedzialny za swoje czyny. Przynajmniej za sprawy finansowe. Pieniądze były przecież główną kwestią w tym małżeństwie, choćby nie wiadomo jak Cassie starała się temu zaprzeczyć.

Nie chciał zgodzić się na unieważnienie ślubu. Nie wiedział, dlaczego było to dla niego takie ważne, ale z niewiadomego sobie powodu nie chciał, by Cassie tak po prostu przekreśliła ich związek.

Pomimo wszystko pragnął jej. I czy Cassie również nie była mu coś winna?

- Obiecałem jej moje wsparcie - zaczął wolno, starając się zapomnieć na moment o palącym napięciu w podbrzuszu. Kolejny kawałek wczorajszych puzzli trafił na miejsce. - Taka była umowa: będę ją wspierał, jeśli zgodzi się wyjść za mnie - powiedział, przypominając sobie nagle, co zaszło. - Ona chce malować.

- Ona musi malować - poprawił go Ryan. - Nie tylko ze względu na właściciela galerii, którego zainteresował kierunek, w jakim rozwija się ostatnio jej twórczość. Oczywiście, to ważne dla jej kariery, ale malarstwo znaczy dla Cassie więcej niż kariera.

Cassie zmarszczyła czoło i szepnęła coś pod nosem do brata, czego Gideon nie usłyszał.

Dokonał wiedział, co Ryan ma na myśli, mówiąc, że Cassie musi malować. Malowanie było dla niej ważniejsze niż wszystko inne, włącznie z zawartym wczoraj małżeństwem. Rozumiał to. Nie sądził jedynie, że Cassie potrafi w ten sposób wykorzystywać ludzi. Że zechce w ten sposób wykorzystać jego.

Pomyślał, że zaciągnęła u niego dług. Miał tylko nadzieję, że Ryana nie będzie specjalnie interesował sposób jego spłaty. Nie chciał stracić przyjaciela. Musiał postępować ostrożnie.

- Moja decyzja w dużej mierze będzie zależała od Cassie. Chcę przeznaczyć dla niej pewne fundusze.

- Małżeństwo to coś więcej niż tylko książeczka czekowa. Jeśli nie jesteś...

- Powiedział, że to zależy ode mnie - przerwała bratu Cassie.

Jej słowa miałyby taki sam skutek, gdyby nie odezwała się w ogóle.

- Interesuje mnie - ciągnął Ryan - czy zamierzasz porzucić moją siostrę, czy też nie.

Miałem powody, by nalegać na to małżeństwo...

Cassie pisnęła i ścisnęła ramię brata.

- Dlatego też ostatecznie zdecydowałem się na to, gdyż ufałem, że będziesz potrafił się nią zająć. I nie chodzi mi o pieniądze, Gideonie.

Ryan nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, co jeszcze Gideon zamierza ofiarować Cassie oprócz wsparcia finansowego.

- Masz rację. Powinniśmy dać temu małżeństwu szansę. Ustalić pewien okres próbny.

- Okres próbny? - Ryan zmrużył oczy. - Co to ma oznaczać?

- Taak? - Także w twarzy Cassie malowało się zdziwienie. - Co to ma znaczyć?

- Sześć miesięcy. Cassie uniosła w górę ręce.

- Oszalałeś.

- Rok - oświadczył Ryan. - Propozycję jakiegokolwiek okresu krótszego niż rok uznałbym za nieszczerą.

- Zgoda. - Gideon skinął głową. Nie będą przecież musieli mieszkać razem przez cały ten czas. - Po roku, jeśli oboje uznamy, że to małżeństwo nie jest udanym pomysłem, wciąż mogę przyznać jej pewne środki.

- Czy któryś z was zauważył, że ja też jestem w tym pokoju? - spytała ze złością Cassie.

- Czy naprawdę sądzicie, że pozwolę wam decydować o mojej przyszłości, jakbym była nieruchomością, której Gideon nie chce kupić, lecz może zgodzić się ją wydzierżawić?

Daj spokój, Ryanie, nieruchomości to przecież twoja specjalność. Czy nie umiesz wytargować dwuletniej dzierżawy? I czy nie powinniście ustalić, kto będzie odpowiedzialny za konieczne naprawy i bieżące utrzymanie? Na przykład: wizyty u dentysty. I ubezpieczenie zdrowotne. Zwykle właściciel opłaca ubezpieczenie...

- Chodź tutaj - zażądał Ryan, chwytając ramię siostry. Mimo protestów pociągnął ją w stronę okna, gdzie kontynuowali sprzeczkę, tym razem głównie szeptem. Gideon miał jednak doskonały słuch. Dobiegło go kilka oderwanych słów, z których wywnioskował, że Ryan wie coś o Cassie, co ona wolałaby zachować w tajemnicy.

Rozczarowanie Gideona pogłębiło się. Najwyraźniej Cassie rzeczywiście pragnęła jego pieniędzy, lecz nie chciała, by o tym wiedział. Gideon nie winił Ryana. Nawet wczoraj zdawał sobie sprawę, że Ryan gotów jest na wszystko, by doprowadzić do tego ślubu. Jego przyjaciel nie był zbyt zręcznym manipulatorem. Ryan chciał tego, co było najlepsze dla jego siostry. Tak właśnie powinno być. Bracia, zwłaszcza starsi bracia, powinni opiekować się swoimi młodszymi siostrami... lub braćmi.

W sercu Gideona odezwał się dawno zapomniany ból.

Cassie posyłała Gideonowi krótkie, podejrzliwe spojrzenia. Wreszcie skinęła głową.

- Dobrze - stwierdził z ulgą w głosie Ryan. - A więc doszliśmy do porozumienia. - Rozejrzał się dookoła, a kiedy dostrzegł nakryty do śniadania stół, jego twarz rozjaśniła się. - Nie jadłem jeszcze. - Sięgnął po krzesło.

Cassie odsunęła jego rękę.

- Do niczego nie doszliśmy, a ty nie zostajesz z nami.

- Jest mnóstwo jedzenia - zauważył Ryan.

- Zabiorę je do domu. Do widzenia, braciszku. - Popchnęła go. Ryan zaśmiał się.

Cassie szybko wygrała tę potyczkę, ale było to bardziej zasługą tego, co syknęła bratu do ucha, niż jej siły. Ryan obrzucił zastawiony jedzeniem stół ostatnim tęsknym spojrzeniem, po czym z rezygnacją skierował się do drzwi.

- Zobaczymy się w Dallas - oświadczył na odchodnym. - Zadzwoń do mamy w twoim imieniu - obiecał z uśmiechem.

Gideon spodziewał się, że gdy tylko zatrzasną się drzwi za Ryanem, Cassie rozpocznie awanturę, którą szykowała dla niego. Dziewczyna jednak oparła się plecami o drzwi, a w jej oczach malowała się niepewność. Dla nich obojga stanowiło to zaskoczenie. Cassie zawsze dotąd zachowywała się swobodnie w jego towarzystwie. Sama jest sobie winna, stwierdził w duchu.

- Chodź - zwrócił się do Cassie. - Zjedzmy, zanim zacniemy ustalać poważniejsze kwestie.

Usiedli naprzeciw siebie przy nakrytym białym obrusem stole. Znów zapadło między nimi kłopotliwe milczenie. Gideon udawał, że ma wielką chęć na jajko, do którego zabrał się z właściwą sobie systematycznością. Cassie przez pełną minutę smarowała masłem rogalik, unikając jego wzroku.

- Gideonie - odezwała się wreszcie, odkładając na talerzyk nóż i pieczywo. - Posłuchaj mnie. Nie wyszłam za ciebie dlatego, że chcę czy potrzebuję twoich pieniędzy.

- Przestań. - Jego głos pobrzmiwał gniewem. - Daj spokój, Cassie. Wiem, w jakich warunkach wychowywałaś się, jak mało mieliście pieniędzy i jak ciężko pracowała wasza matka, by zapewnić wam dach nad głową i utrzymanie. Rozumiem, że możesz chcieć więcej. Na Boga, naprawdę to rozumiem. Zawsze byłaś impulsywna, więc może dziwić się należy jedynie temu, że tak późno zdecydowałaś się na podróż do Vegas. Tylko nie udawaj. Do diabła, przestań udawać!

Patrzyła na niego smutnym wzrokiem.

- Och, Gideonie. Czy naprawdę tak nisko oceniasz kobietę i samego siebie? Czy naprawdę sądzisz, że jedynym powodem, dla którego kobieta mogłaby poślubić ciebie, są twoje pieniądze?

Wstał.

- Nie potępiam kobiet, Cassie. Uważam jedynie, że wszystkim kieruje biologia, zaś kobiety i mężczyźni zostali zaprogramowani inaczej. Kobieta szuka partnera, który zapewni jej i dzieciom dostatni byt. W dzisiejszym świecie oznacza to pieniądze. Nie ma w tym nic nagannego. Tak po prostu zaprogramowała nas natura.

- A według jakich kryteriów mężczyzna dobiera sobie partnerkę? - spytała Cassie, starannie składając zdjętą z kolan serwetkę.

Zmarszczył czoło. Cassie zdawała zupełnie go nie rozumieć.

- Ewolucja wymaga od mężczyzn kontaktów seksualnych z wieloma partnerkami, gdyż w ten sposób rozsiewane jest nasienie...

Stolik pchnięty przez Cassie zakotłosał się, kawa z filizanek rozlała się na jasny obrus.

- Tak więc ostatnia noc była totalną klęską z punktu widzenia biologii. Czy mam rację?
To - oburzyła się, ciskając w niego serwetką - najbardziej obrzydliwa teoria, jaką słyszałam.

Podążył za nią wzrokiem. Zawsze wyobrażał sobie, że w ten właśnie sposób poruszały się nierządnicę: szybko, prężnie i miękko.

- Uspokój się. Nie jestem zwolennikiem rozwiązłości. Zwierzęta są ofiarami swojej biologii. Mężczyzna, któremu brak siły woli, by dotrzymać danego słowa, nie jest godny tego miana. Mimo wszystko mężczyźni wymagają wierności od swoich żon, by nie było wątpliwości, kto wychowuje czyje dzieci. Musimy być przygotowani do spełnienia podobnego żądania.

Przystanęła koło okna.

- Och, co za wspaniałomyślność. Skinął głową.

- To uczciwe postawienie sprawy. Kobieta chce wiedzieć, że mężczyzna tylko u niej zaspokaja swoje seksualne popędy, gdyż seks w dużym stopniu decyduje o poczuciu zadowolenia u mężczyzny. Zadowolony mężczyzna chętniej będzie zabiegał o środki utrzymania dla rodziny. Kobiety...

W twarzy Cassie malowała się wściekłość.

- ...podchodzą do tych spraw w sposób emocjonalny - dokończył. - Ale to wszystko da się wyjaśnić logicznie.

- Nie reaguję emocjonalnie - odrzekła, opierając na biodrach zaciśnięte w pięści dłonie. - Jestem rozsądna. Spokojna. I w sposób niezwykle logiczny wyjaśnię, dlaczego twoje teorie nie są więcej warte niż kupa końskiego nawozu.

Uśmiech, który nagle pojawił się na twarzy Gideona, zaskoczył ich oboje.

- Nie będę się nudził - mruknął Gideon. - Cokolwiek by powiedzieć o tym małżeństwie, w które wpakowaliśmy się przynajmniej na najbliższy rok, nie będzie nudno.

Cassie skrzyżowała ręce.

- Nie zostaniemy małżeństwem.

Och, tak, oczywiście, nosiła przecież nazwisko O'Grady. Była uparta. Gideon znał jednak jej czuły punkt.

- Nie na zawsze - zgodził się. - Ale nie mam zamiaru narażać swojej przyjaźni z Ryanem, porzucając jego małą siostrzyczkę dzień po ślubie. Nawet jeśli takie miałyby być twoje życzenie.

- Ryan nie... - zaprotestowała bez przekonania.

- Sama znasz go najlepiej. Ryan jest wspaniałym przyjacielem, lecz przede wszystkim liczy się dla niego rodzina, nie ja. Jak sądzisz, co zrobi, kiedy dowie się, że źle cię potraktowałem? - Ruszył w jej stronę. - Nie mam do niego pretensji. Pamiętam fragmenty wczorajszego wieczoru, Cassie. Wiem, czego oczekujesz ode mnie. Zbyt wiele czasu marnujesz, podejmując się przeróżnych, prowadzących donikąd zajęć, zamiast malować. - Zatrzymał się przed nią. - Obiecałem dać ci wszystko, czego zażadasz, jeśli zgodzisz się wyjść za mnie. Nie jestem mężczyzną, który cofa dane słowo. Gideon przyglądał się zaciśniętym ustom Cassie i doszedł do wniosku, że nie przeszkadza mu jej upór. Zawsze lubił wyzwania.

- I tobie także nie pozwolę złamać danego słowa. - Zrobił krok do przodu.

Nie cofnęła się, choć miała na to ochotę. Widział, jak nerwowo zwilżyła usta czubkiem języka.

- Przestań się tak uśmiechać - zażądała.

- Jak?

- Jak kot czatujący przed mysią norą.

- Z tego, co pamiętam, zawsze lubiłaś koty.

- A co to ma wspólnego z... - Wstrzymała oddech, kiedy Gideon podszedł jeszcze bliżej. Zbyt blisko. Dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów. Pożądanie. W jej oczach zobaczył pragnienie mocne i intensywne jak żar, który w tej samej chwili ogarnął także jego ciało. Pragnie mnie. Cassie mnie pragnie!

W tym momencie po raz pierwszy zrozumiał, że kobieta potrafi rzucić mężczyznę na kolana... bo Cassie, szalona, mała Cassie z ognistymi włosami, była kobietą. Już nie dziewczynką. Miała dwadzieścia osiem lat, a nie szesnaście, nie była niedostępna i na zawsze poza zasięgiem jego marzeń. O, nie, sądząc po wyrazie jej oczu.

Do głosu doszedł w nim drapieźnik. Jest moja, pomyślał, jest moja, i wyciągnął przed siebie rękę.

To nie rozsądek powstrzymał go przed kolejnym krokiem. Nie cień niepewności, jaki dojrzał w jej oczach. To obawa zagłuszyła wszystkie inne pragnienia.

Ręka Gideona zadrżała, kiedy palce dotknęły cienkiego jedwabiu w miejscu, gdzie rękaw bluzki kończył się, odsłaniając delikatną skórę ramienia. Prawie stracił kontrolę, pomyślał. Patrzył, jak oczy Cassie zachodzą mgłą pożądania, i przepełniło go uczucie triumfu.

Pragnęła go. On także jej pożądał, ale potrafił kontrolować swoje emocje. Musiał.

- Dajmy sobie szansę. - Przesunął dłoń w dół do jej nadgarstka i teraz pod palcami wyczuwał przyspieszony puls. - Bądź moją żoną. Zamieszkać ze mną. Pozwól mi... zaopiekować się tobą.

- Nie chcesz po prostu przyznać, że popełniłeś błąd - odrzekła, nie poznając swojego chrapliwego nagle głosu.

Cassie nie widziała żadnej sprzeczności w tym, że jednocześnie spiera się z nim i odczuwa podniecenie.

- Niełatwo ci zmieniać zdanie, Gideonie. Uważasz, że skoro wzięłeś ślub, to niezależnie od tego, jak bardzo przypadkowa była twoja decyzja, musisz pozostać moim mężem. Jesteś uparty.

- Konsekwentny - poprawił ją. Jego palce zawędrowały pod materiał rękawa bluzki. Miał wrażenie, jakby dotykał niesłychanie intymnego i czułego miejsca. - Jestem bardzo konsekwentnym człowiekiem.

- To nie brzmi zbyt logicznie - upierała się, całą uwagę skupiając na jego delikatnej pieszczocie. - Nie chcesz być moim mężem.

Jeden kącik jej ślicznych, zmysłowych ust uniósł się delikatnie.

- Nie chcę? - Kiedy wyrysowywał palcami kółka na jej ramieniu, jego kciuki muskały pierś Cassie.

Przygryzła na chwilę wargi.

- Zamierzałeś poślubić lodową księżniczkę. To znaczy Melissę. Upiłeś się, bo cię odtrąciła.

Jego dłoń znieruchomiła, by po chwili znów rozpocząć delikatny masaż jej ramienia i... piersi.

- Nie wiesz, czy możesz mi zaufać?

- To nie było zbyt konsekwentne ożenić się ze mną, kiedy pragnąłeś Melissy.

Teraz już przesunął dłonią po jej dekolcie.

- Ale teraz jej nie chcę.

Zamknęła oczy, oddając się przyjemności, jaką Gideon wzbudzał swym delikatnym dotykiem. Kiedy znów spojrzała na niego, Gideon stał ze wzrokiem utkwionym w jej piersi, w miejsce, gdzie pod materiałem rysowały się wyraźnie twarde sutki wyczekujące kolejnych pieszczot.

- Gideonie... ? - Chwyciła jego nadgarstek. Oddychała ciężko jak po długim biegu. Nie wiedziała, czy chce odepchnąć jego rękę, czy też skierować tam, gdzie jej pragnęła. - Czego chcesz? - spytała. - Muszę wiedzieć, czego oczekujesz od tego małżeństwa? - Seksu?

Nigdy przedtem nie patrzył na nią w ten sposób. Może jednak jego ciało pamiętało wczorajszą noc, choć w świadomości nie pozostał żaden ślad. Czy seks stanowił wystarczającą podstawę do małżeństwa? Czy mogła zgodzić się na nie, jeśli tylko tego od niej oczekiwał?

Czy mogła odmówić?

Powoli znów przeniósł wzrok na jej twarz, lecz w jego oczach niczego nie mogła wyczytać. W ich ciemnym blasku były jednocześnie pasja i opanowanie, kombinacja, której nigdy nie potrafiła zrozumieć.

- Jeden rok - powiedział. - Daj mi rok, żebym miał szansę dotrzymać danego słowa. Potem to zakończymy.

Poczuła nagły, przeszywający ból. Cofnęła się o krok.

- Unieważnienie...

Zaprotestował, nie pozwalając jej skończyć.

- Nie. Nie teraz. Nigdy.

Dlaczego? Dlaczego woli rozwód niż... chyba że, pomyślała wzburzona, chce, bym przez ten rok dzieliła z nim łóżko.

Spróbowała się cofnąć, lecz Gideon objął dłońmi jej talie, przytrzymując Cassie w miejscu.

- Nie zamierzam zgodzić się na unieważnienie - powiedział stanowczo. - Ani na rozwód. Jeszcze nie. Czy będziesz walczyć, żeby uwolnić się ode mnie, Syrenko?

Jego ciemne oczy pełne były pytań i odpowiedzi, których ona nie potrafiła odczytać. Były oczami mężczyzny, który jej pragnął i którego mogła zranić.

- Dobrze. Podejmę twoje wyzwanie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy drzwi jej mieszkania zamknęły się o dwunastej trzydzieści tego popołudnia, Cassie została sama. Nareszcie.

Oparta o framugę, rozglądała się po swojej kryjówce, bardzo potrzebując tej chwili oddechu. Przyjechała tu prosto z lotniska, gdzie zostawiła samochód. Jej mąż odjechał limuzyną. Do mieszkania, którego nigdy nie widziała i do którego miała się dziś jeszcze przenieść. Za kilka godzin zjawi się ekipa od przeprowadzek. Jej rzeczy, spakowane w kartony, w większości zostaną złożone gdzieś na przechowanie. Gideon nalegał, by samemu wszystko zorganizować.

Oddechnęła głęboko, po czym usiadła pośrodku pokoju, który był jej domem przez ostatnich pięć lat.

Jednopokojowe mieszkanie Cassie zajmowało połowę trzeciego piętra starego wąskiego domu w dzielnicy Dallas, której yuppies i konserwatorzy nie zdążyli jeszcze zagarnąć dla siebie. Meble pochodziły z targowisk staroci i wyprzedaży. Zgromadzone drewniane i wiklinowe sprzęty pyszniły się wszystkimi odcieniami tęczy, gdyż Cassie uwielbiała kolory. Także leżący na dębowej podłodze dywan był spleciony z wielobarwnych sznurków. Na północnej ścianie wisało ogromne płótno w różnych odcieniach beżu, turkusowego i rdzawej czerwieni ozdobione piórami, muszelkami, nitkami i kawałkami splątanych sznurków. Na ciągnących się wzdłuż ścian półkach piętrzyły się książki wraz z innymi ważnymi dla Cassie przedmiotami. W rogu pokoju turkusowa narzuta opadała jednym końcem do ziemi z nie zaścielnego łóżka. Wczoraj rano, śpiesząc się do pracy, postanowiła zostawić je w takim stanie, by zyskać kilka cennych minut. Wczoraj rano, kiedy była jeszcze wolna.

Poza tym jej pokój był schludny i posprzątny. Chaos był żywiołem Cassie, lecz wierzyła święcie, że porządek jest bardzo istotny i czyste naczynia były dla niej prawie równie ważne jak czyste pędzle. Przyglądała się zgromadzonym przez siebie zniszczonym, lecz wygodnym meblom. Jej meblom. Za kilka godzin obcy mężczyźni mieli spakować to wszystko i wywieźć gdzieś na przechowanie.

Miała ochotę obciążyć brata winą za to, że znalazła się w takim położeniu. Wtedy, w Las Vegas, odciągnął ją na bok i oświadczył, że musi wreszcie albo zarzucić przynętę, albo zrezygnować z wędkowania. Jeśli rzeczywiście zależy jej na Gideonie, może go mieć na rok. Jeśli jej uczucie nie jest na tyle silne, by zdecydowała się podjąć tę próbę zdobycia jego wzajemności, lepiej, żeby postarała się o nim zapomnieć.

Cassie przeniosła wzrok na jedyny zakątek pokoju, w którym panował rzeczywisty rozgardiasz. Pomiędzy dwoma oknami stały jej sztalugi, a na nich rozpięte nowe płótno, nad którym planowała zacząć pracę w ten weekend. Gotowe obrazy stały oparte o ściany i nogi stołu z przyborami malarskimi. Na podłodze leżała pobrudzona farbami szmatka.

Przez chwilę pomyślała z żalem, że dobrze byłoby nie pracować i móc poświęcić się tylko sztuce. Gdyby to było prawdziwe małżeństwo... W obecnej sytuacji nie mogła pozwolić sobie na to, by utrzymywał ją Gideon. Może znajdzie jakąś dorywczą pracę... Usłyszała odgłos kroków na schodach, a potem niski damski głos nawołujący mieszkającego na drugim piętrze Mosesa.

- Mo, chodź! Cassie wróciła. Jej samochód stoi przed domem.

Z ciężkim westchnieniem Cassie podniosła się. Nie miała powodu protestować przeciwko inwazji, która miała za chwilę nastąpić. Byli to przecież jej najlepsi przyjaciele.

- Cassie! - Jaya Duncan pchnęła drzwi bez pukania i stanęła w progu, opierając ręce na szczyptych biodrach. - Co, u licha, miała znaczyć wiadomość, którą zostawiłaś wczoraj na mojej sekretarce: „Nie wrócę dziś do domu”? Nie mogłam spać, zamartwiając się o ciebie.

- Sądziłam, że to cię właśnie uspokoi. - Wiedząc, że o tej porze Jaya śpiewa w klubie, Cassie zatelefonowała do niej z lotniska, by zostawić tę trzydziestosekundową wiadomość. Może nie podała zbyt wielu szczegółów, ale musiała się śpieszyć. - Ty nigdy nie zadajesz sobie trudu, by mnie uprzedzić, gdy postanawiasz spędzić noc z którymś z twoich objawień miesiąca.

- To co innego. Ja robię tego rodzaju rzeczy, a ty nie. Poza tym ty nawet nie spotykasz się ostatnio z nikim. A więc gdzie byłaś?

W tej chwili w drzwiach pojawił wysoki i szczupły mężczyzna o łagodnych oczach z jasnoblonde kędzierzawą czupryną.

- Cieszę się, że wróciłaś cała, mimo najczarniejszych przewidywań Jayi.

Cassie odwzajemniła jego uśmiech. Jasna karnacja i łagodność Mosesa ostro kontrastowały z ciemną cerą i ognistym temperamentem Jayi. Dziewczyna z radością i entuzjazmem przebierała wśród przedstawicieli płci przeciwnej. Moses wolał własną.

- A więc gdzie byłaś? - Moses powtórzył pytanie Jayi. Cassie westchnęła.

- W Las Vegas - wyznała. - Wyszłam za męża.

- Za męża? - Jaya przyglądała się jej z niedowierzaniem. Cassie skinęła głową i podniosła do góry lewą rękę, pokazując widniejącą na serdecznym palcu obrączkę.

- O mój Boże.

- To samo powiedział Gideon - mruknęła Cassie.

- Gideon - powtórzyła Jaya. - Gideon Wilde. - Wyszłaś za niego? Naprawdę. O mój Boże!

- Czy to o nim mi opowiadałaś? - spytał Mo. Kochanek Mo opuścił go przed sześcioma miesiącami, mniej więcej wtedy, gdy Cassie dowiedziała się o zaręczynach Gideona. Przy dwóch butelkach musującego wina przegadali wówczas całą noc. - To on zaręczył się z kimś innym?

Cassie skrzywiła się.

- Nie jest już zaręczony. Narzeczona rzuciła go kilka dni temu.

- Nieźle się odegrał - stwierdziła Jaya. - Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę. Naprawdę za niego wyszłaś? Jak? Gdzie? I nie powiedziałaś mi! Nawet mnie nie zaprosiłaś na ślub!

- Miałaś wtedy występ - usprawiedliwiła się Cassie. - I wszystko potoczyło się tak szybko...

- Czy musiałaś zawlec go siłą? Jak wymogłaś jego zgodę?

- To on mnie poprosił - odparła urażona Cassie. - I chcę wam powiedzieć, że nie od razu powiedziałam „tak”.

- Gideon z Ryanem musieli przekonywać ją prawie godzinę, zanim się ostatecznie zgodziła.

- A więc - zaczął Mo - co robisz tutaj, skoro wyszłaś za męża?

- Pakuję się. - Cassie przygryzła wargę. Czy rzeczywiście zgodziła się rzucić wszystko dla mężczyzny, który chciał, by przez rok dzieliła z nim łóżko? Jeden rok... a jej brat musiał wytargować połowę tego okresu.

Jęknęła i opadła na kolorową kanapę.

- Och, nie wiem, co robię. Zwariowałam.

Jaya odsunęła na bok gazetę otwartą na rubryce „Dam pracę” i usiadła obok przyjaciółki, otaczając ją ramieniem.

- No, dobrze, a teraz opowiedz mi, jak to się stało. Kogo tym razem ratowałaś?

- Nikogo. - Cassie zmarszczyła czoło. - Naprawdę, Jayo, potrafię zadbać o własne interesy. Owszem, czasami lubię pomagać ludziom, ale to wszystko.

- Być może. A więc, jak to się stało, że wreszcie poślubiłaś faceta, który był twoim bożyszczem przez wszystkie te lata? I dlaczego jesteś z tego powodu taka nieszczęśliwa?

- Nie przez wszystkie lata - zaprotestowała Cassie. -A przynajmniej nie bez przerwy. Nie odwzajemniona miłość znudziła mi się, kiedy skończyłam dwadzieścia lat. Pamiętasz Randalla? - Ona i Jaya znali się od drugiej klasy podstawówki.

- Phi! - Lekceważącym machnięciem ręki Jaya odrzuciła wspomnienie mężczyzny, z którym Cassie straciła dziewictwo. - Ten szczurek nie liczy się nawet jako drobny przerywnik.

- Randall był słodki i wrażliwy.

- To gamoń.

- Nawet jeśli nie weźmiemy pod uwagę Randalla, to nie spędzałam życia, więdnąc z tęsknoty. Co powiesz o Maksie? - spytała, przypominając sobie swój drugi i ostatni poważny romans z graczem w baseball, z którym spotykała się dwa lata temu.

- Max to idiota. Wspaniały idiota, to fakt, i nawet dość sympatyczny, przez co trudniej ci przyznać, jak bardzo cię nudził. On się nie liczy.

- A więc był jeszcze Sam i J.T., i całe mnóstwo innych, z którymi chodziłam na randki.

- Cassie - przerwał jej Mo. - Jaya wie i ja wiem, że właśnie dlatego było ich takie mnóstwo, bo żadnego z nich nie traktowałaś poważnie. Lubisz pomagać facetom, z którymi się spotykasz. Poznajesz ich ze swoimi przyjaciółkami, załatwiasz pracę albo po prostu wysłuchujesz ich problemów. Ale nie chodzisz z nimi do łóżka i z pewnością z żadnym z nich nie poleciałabyś do Las Vegas. Ten Wilde to co innego i wszyscy to wiemy.

- Dokładnie tak - zgodziła się Jaya. - A teraz skończ z unikami i opowiedz, jak doszło do tego ślubu.

Cassie więc opowiedziała im o wszystkim, pomijając kilka zdecydowanie intymnych szczegółów dotyczących nocy poślubnej i wyjaśnień, jakie przedstawiła następnego ranka Gideonowi na temat tego, co zaszło, a raczej nie zaszło między nimi.

Skoncentrowała się głównie na ceremonii i kolorycie miasta.

- Zdobyliśmy licencję ślubną. Urząd stanu cywilnego jest tam czynny do północy w ciągu tygodnia i przez całą dobę w weekendy. Potem przejechaliśmy przyozdobioną neonowymi amorkami taksówką do Kaplicy Miłości.

Jaya śmiała się, gdy Cassie opowiadała im o pastorze w wysadzonym cekinami smokingu, znacznie barwniejszym niż jej własne džinsy i szkarłatna bluzka. Mo nie odzywał się wiele. Wreszcie, z ciężkim westchnieniem, Cassie podniosła się z kanapy.

- Muszę w końcu coś wrzucić do tej walizki, zanim zjawi się ekipa od przeprowadzek.

Jaya spojrzała na nią zaskoczona.

- Czyżbyś zaakceptowała to małżeństwo? To znaczy, wyprawa do Las Vegas jest wspaniałą przygodą, ale kiedyś trzeba powiedzieć: dość. Zamieszkanie z kimś.... - Jaya zamilkła i wycelowała w Cassie wyjęte ze stoika ciastko. - Gideon wie, że się przeprowadzasz, prawda? Nie chcesz po prostu zrobić mu niespodzianki?

Mo roześmiał się.

- Świetnie! Uważasz mnie za idiotkę? Wie. Dał mi klucz. - Cassie wyciągnęła z szafy ogromną staroświecką walizę, którą jej mama kupiła na jakiejś wyprzedazy. - Prawdę mówiąc, to jego pomysł. Ja proponowałam unieważnienie ślubu, ale nawet nie chciał mnie słuchać.

- Unieważnienie? - zdziwił się Mo.

- Hm, mogłoby to niekorzystnie odbić się na jego interesach. .. - Cassie, skrzywiła się, słysząc, jak mało przekonująco brzmią jej słowa. Zebrała z półki naręczne ubrania i

wrzuciła do walizy. - Wiele osób wiedziało o jego zaręczynach z Melissą i o tym, jak z nim ostatecznie zerwała. Wyprawa do Las Vegas w dniu planowanego ślubu z lodową księżniczką i tak wygląda dostatecznie głupio. Gdybyśmy rozstali się natychmiast po powrocie do Dallas, byłoby to dla niego prawdziwą kompromitacją.

Przyjaciele przyglądali się jej bez słowa Zapakowała dzinsy i spróbowała raz jeszcze uzasadnić swoje postępowanie.

- Reputacja handlowa może okazać się bardzo krucha. W takich okolicznościach część inwestorów mogłaby stracić zaufanie do Gideona. - Cassie westchnęła zrezygnowana i ruszyła w stronę szuflady z bielizną.

- O, nie. - Jaya zagroziła jej drogę. - Nie pozwolę ci się spakować, dopóki nie zaczniesz mówić sensownie. Nawet ty nie zgodziłabyś się przeprowadzić do faceta tylko po to, by ratować jego reputację handlową. I dlaczego używasz słowa „unieważnienie”, a nie „rozwód”?

- To nieważne, bo Gideon i tak nie zgodził się ani na jedno, ani na drugie. - Ponieważ Jaya zaślaniała sobą komodę, a Mo zagroził dostęp do szafy, zaś Cassie nie miała ochoty opowiadać im o małżeństwie na próbę, ruszyła do łazienki.

- Cholera - mruknęła. Do pudełka z kosmetykami włożyła szczoteczkę do zębów i pastę, ale nie miała szansy upchnąć tam szamponu, odżywki, kropli do oczu, lakieru do włosów, kremu do rąk, lokówki, suszarki i... przycisnęła rękę do żołądka.

- Jeśli tak się denerwujesz - zwrócił się do niej stojący w progu Mo - może powinnaś przemyśleć jeszcze raz tę decyzję.

- Urzędowa strona małżeństwa jest naprawdę przerażająca. Nigdy nie przypuszczałam, że wiąże się z tym tak wiele papierkowych ustaleń - wyjaśniła swój niepokój Cassie. - Będę musiała wyrobić nowe karty kredytowe, zmienić nazwisko w dokumentach i w ubezpieczeniach.

Mo skinął głową i oparł się o framugę drzwi.

- Pamiętaj o pocztce. Musisz zawiadomić ich o zmianie adresu, zrezygnować z porannej prasy i podać nowy adres dla prenumeraty czasopism.

Cassie przygryzła wargę. Nie przeprowadziła się jeszcze, a już miała wrażenie, że została wchłonięta w świat Gideona.

- Ale to dość rozsądne, by przeprowadzić się do niego - zwróciła się do Mo, a może do samej siebie. - Jego mieszkanie jest z pewnością znacznie większe niż moje.

- Z pewnością - zgodził się Mo.

- Ale za to urządzone na biało-czarno - mruknęła. Pamiętała ze swojej jedynej wizyty w jego mieszkaniu sprzed ośmiu lat, że Gideon wyjątkowo upodobał sobie te dwa nijakie kolory. Westchnęła kolejny raz. - Teraz już za późno, by się wycofać.

- Nie jest za późno - powiedział łagodnie Mo. - Jeśli nie masz ochoty, nie musisz tego robić.

Cassie uśmiechnęła się smutno.

- Może za późno było już wiele lat temu. Dłuższą chwilę patrzyli na siebie bez słów.

- Dobrze - przerwał ciszę Mo, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Żadnych więcej pytań, żadnego nacisku. Ale wiesz, do kogo się zwrócić, kiedy będziesz czegoś potrzebowała, prawda?

Kiwnęła głową, patrząc na niego błyszczącymi od łez oczami.

- O, nie! - zawołała Jaya. - Cóż to za tkliwa scena?

- Odwróć się - poradził jej z uśmiechem Mo. - Prawie skończyliśmy. - Po raz ostatni uściskał ramię Cassie. - Skoro jesteś zdecydowana, przyniosę tę niebieską torbę, którą zawsze pożyczasz, jadąc w odwiedziny do mamy. Zmieści się do niej trochę rzeczy. - Odwrócił się i wyszedł.

- Ty także mogłabyś pomóc mi w pakowaniu - Cassie zwróciła się do przyjaciółki, segregując kosmetyki. Przerwała na moment, by popatrzeć na stojącą pod lustrem bezkształtną figurkę z dość beładnie sklejonych muszelek, która w założeniu przypominać miała anioła.

Jaya skrzyżowała ręce na płaskiej piersi.

- Pomóc ci skrócić sobie kark? Nie, dziękuję. - Prychnęła z pogardą na widok trzymanej przez Cassie kiczowatej pamiątki. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że to kupiłaś. Artyści powinni mieć lepszy gust.

- Sztuka - odparła wyniośle Cassie, przyglądając się figurce pod innym kątem - wiąże się z autentycznym przeżyciem. To najprawdziwszy przykład taniego turystycznego kiczu. - Nie dodała, że stara kobieta, która sprzedała Cassie tę figurkę, wzbudziła jej sympatię. Jaya zdawała się czytać w myślach przyjaciółki.

- Ta kobieta umiała rozpoznać naiwniaka.

- O, tak, była sprytna. - Cassie z rozrzewnieniem przypomniała sobie przebiegły uśmiech staruszki. - Hm- mruknęła zmartwiona. - Nie bardzo wyobrażam sobie, by w mieszkaniu Gideona znalazło się miejsce dla tego aniołka.

- Cassie. - W głosie Jayi brzmiało szczere zatroskanie.

- Pomyśl o tym, co robisz. Poślubienie Gideona stało się faktem. Być może zadziałałaś pod wpływem impulsu, ale jeszcze da się wszystko naprawić. Przeprowadzenie się do mężczyzny, który nie życzy sobie, by twoje rzeczy zagracały jego mieszkanie, to coś zupełnie innego.

Jaya zawsze umiała trafić dokładnie w samo sedno problemu.

- Zazwyczaj małżonkowie mieszkają po ślubie razem. I... poczyniłam pewne obietnice.

- Czy dlatego to robisz? - chciała wiedzieć Jaya. - Bo jakiś kaznodzieja kazał ci powtórzyć za sobą słowo „tak“?

- Może - przyznała Cassie. Były jeszcze inne powody. Na przykład: przyjaźń pomiędzy jej bratem i Gideonem. Dla Gideona zerwanie znajomości z Ryanem byłoby szczególnie bolesne. Cassie była pewna, że jej mąż nie ma innych przyjaciół. - Przede wszystkim jednak - wyznała

- robię to dla siebie. To moja szansa, by zdobyć jego uczucie, i głupio byłoby zrezygnować, tylko dlatego, że się boję. Prawda?

- Och, Boże, nie wiem. - Jaya przeczesiała dłonią włosy, czochrając ciemną grzywkę. - Nie... - Nagle zamilkła.

- Co to takiego? Jakby warkot ciężarówki.

- Tragarze... - wyszeptała Cassie. Wciąż ściskając w ręku muszelkową figurkę, wybiegła z łazienki, by wyrzeć przez okno.

Z szoferki wysiadł barczysty mężczyzna z sumiastym wąsem. Jego wysoki i szczupły towarzysz kierował się już w stronę domu. Cassie z przerażeniem rozglądała się po pokoju. Ci ludzie mieli spakować i wywieźć gdzieś jej rzeczy. Co powinna zabrać ze sobą? Co zostawić?

Poczuła na ramieniu dłoń przyjaciółki.

- Chcesz, żebym się ich pozbyła?

Cassie spojrzała na kiczowatego aniołka i przygryzła wargę, przypominając sobie raz jeszcze mieszkanie Gideona. Nie jego obecne mieszkanie. Gdy odwiedziła go w swoje dwudzieste urodziny, nie mieszkał jeszcze w tak ekskluzywnym budynku i dzielnicy. Pamiętała jednak doskonale biały dywan, srebrzystoszare kanapy i czarne lakierowane stoliki. Podobnie jak pamiętała jasnoblonde włosy kobiety, którą zastała wówczas u niego.

Te włosy, w subtelnym odcieniu dojrzałego zboża, były jedynym ciepłym akcentem kolorystycznym w tamtym pokoju.

Oczywiście. Cassie opuścił nagle strach, gdy zrozumiała wreszcie, co powinna zrobić.

- Jayo - powiedziała - wyświadczyć mi przysługę. - Oznajmij tym panom, że nie będę ich potrzebować. Nie ma powodu, by dzisiaj podejmować wszystkie decyzje. Zapłaciłam za mieszkanie do końca miesiąca, więc większość mebli zostawię tutaj. - Podeszła do barku i sięgnęła po trzymaną przez Myszkę Miki słuchawkę. - Sprawdzę, czy Sam i Nugget nie mogliby nam pomóc.

- Cassandra Danielle O'Grady. - Jaya obróciła się w jej stronę. - Mam nadzieję, że zrezygnowałaś z przeprowadzki?

- Moje nazwisko brzmi teraz Cassandra Danielle O'Grady Wilde. - Swój los splótła ubiegłej nocy z losem Gideona, była teraz częścią jego życia. Nawet jeśli on zdążył zmienić zdanie i nie chciał jej. Nawet jeśli jego mieszkanie wypełniały szaro-czarne nijakie sprzęty...

A zwłaszcza dlatego, że jego świat był tak bezbarwny. Potrzebował jej i tego tandetnego aniołka, lecz nie musiała oddawać połowy swojego życia na przechowanie, by być z nim.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O piątej dwadzieścia Gideon zaczął porządkować biurko. Odłożył na półkę mapy i zamknął komputer. Po chwili wahania schował też do szuflady przenośny twardy dysk.

Nie będzie wykonywał w domu żadnej pracy. Czekala tam na niego Cassie.

Sięgając po filiżankę, zauważył stojącą obok fotografię Melissy w srebrnej ramce. Teraz, gdy poślubił inną kobietę, nie wypadało, by stało tu zdjęcie byłej narzeczonej.

Tak bliski był osiągnięcia swego celu. Wydawali się parą jakby stworzoną dla siebie.

Nigdy się nie kłócili, mieli niemal identyczne upodobania. Zgadzała się w każdej sprawie, czy chodziło o pójście do kina, czy o wybór domu. Och, był tylko jeden mały problem związany ze ślubem! Oboje zgodzili się, że kościół pod wezwaniem Świętego Łukasza jest jedynym miejscem, gdzie mogliby wziąć ślub. Jednocześnie był to również najmodniejszy kościół w mieście i wszystkie weekendowe terminy były pozajmowane na najbliższe dwa lata. Gideon był w tej sprawie nieustępliwy. Nie zamierzał czekać dłużej niż sześć miesięcy i Melissa ostatecznie zgodziła się, by ceremonia odbyła się w środku tygodnia. A przynajmniej powiedziała, że się zgadza. Teraz nie mógł już być niczego pewien. Przecież twierdziła również, że chce za niego wyjść, choć wcale tak nie myślała. Gideon otworzył ramkę i wyjął z niej lśniąca fotografię.

Potem sięgnął do dolnej szuflady biurka, gdzie spoczywał album w taniej, wytartej okładce. Wyglądał tandetnie i zupełnie nieodpowiednio w eleganckim otoczeniu dyrektorskiego gabinetu.

Gideon uśmiechnął się, spoglądając na dwie pierwsze fotografie. Jedna z nich przedstawiała czarnego, błyszczącego mustanga, zaś druga jasnowłosą dziewczynę przewodzącą kibicującej grupie dziewcząt. Typowe dla nastolatka: szybki samochód i szczupła, zgrabna blondynka. Kiedy miał piętnaście lat, przeczytał gdzieś, że fizyczne wyobrażenie wyznaczonego sobie celu pomaga go osiągnąć. Zaczął zbierać zdjęcia. Był zdecydowany wyrwać się z zakłętą kręgu dzieciństwa, osiągnąć sukces, zostać kimś. Cindy Matheson, która prowadziła kibicującym dziewczętom w jego szkole, przez cały okres nauki w liceum chodziła z tym samym chłopakiem i ostatecznie wyszła za niego za mąż. Ale były inne dziewczyny, kobiety, cele. Czarnego mustanga kupił jeszcze w czasie studiów. Nie był to nowy samochód, ale szybki i błyszczący. Teraz jeździł porsche.

Na kolejnych kartach albumu widniały zdjęcia absolwentów w strojach galowych, zestawów stereo, obligacji giełdowych i domów. Wkleił tu wiele fotografii wystawnych willi, różnych wersji domu, którego on sam miał zostać kiedyś właścicielem. Budynku, który miał być prawdziwą rodzinną przystanią.

W przeciwieństwie do swojej byłej narzeczonej, Gideon wiedział dokładnie, czego chce. Pragnął prawdziwego domu w najszerszym znaczeniu tego słowa, zaś obecne mieszkanie traktował jedynie jako przejściowe lokum. Wygodne i przyjemne, lecz z pewnością nie było ono wymarzonym domem.

Gideon wyznawał zasadę, że w każdej sprawie najlepiej jest korzystać z usług profesjonalistów. Wiele też lat temu zrozumiał, że sam nie zdoła osiągnąć najistotniejszego dla siebie celu. Nie mógł sam stworzyć domu, którego nigdy nie miał. Potrzebował pomocy kogoś z właściwym, fachowym przygotowaniem.

Szybko zdał sobie sprawę, że zrealizowanie tego celu wymaga zgromadzenia bardzo solidnych zasobów finansowych. We współczesnym świecie jedynie bogaci ludzie wciąż przygotowywali swoje córki do roli żony i matki, westalki domowego ogniska.

Gideon wsunął fotografię Melissy do przezroczystej koperty albumu. Melissa wydawała się idealną kandydatką na jego życiową partnerkę. Była zamożna. Zrównowazona, inteligentna kobieta bez niepotrzebnych osobistych ambicji, które mogłyby przeszkodzić jej w tworzeniu dla niego domu. Gideon wiedział, że również ciotka pochwałała jego zaręczyny z Melissą, lecz nie widział w tym nic złego.

Dlaczego go nie chciała?

Wiedział, że wina leży po jego stronie. Gdyby tylko zechciała mu to wyjaśnić w sposób bardziej rzeczowy niż podczas tamtej nocnej rozmowy przez telefon cztery dni przed ślubem. Gdyby chociaż potrafiła w jakiś logiczny sposób uzasadnić swoje postępowanie. Dusi się przy nim. Nie może żyć w ten sposób, twierdziła. Chce przekonać się, kim jest, a rodzice będą musieli zaakceptować jej decyzję. Nie liczyła na to, że on ją zrozumie. Sam zawsze był tak pewny siebie.

W tym wypadku miała rację. Nie zrozumiał ani jednego słowa z tych chaotycznych wyjaśnień.

Przez chwilę spoglądał z góry na ciągnący dwadzieścia i cztery piętra niżej sznur samochodów. Rzadko kończył tak wcześnie pracę. Centrum Dallas prezentowało się atrakcyjnie i stanowiło dobrą lokalizację dla biura, lecz jazda w godzinach szczytu stanowiła tu prawdziwy koszmar.

Czekała na niego żona. Nieodpowiednia żona. Cassie nie pasowała do jego ideału. Była zbyt nerwowa i rozkojarzona. Cassie stanowiła dla niego tajemnicę, a jak można

było budować udany związek przy braku wzajemnego zrozumienia? Jej namiętna, impulsywna natura i swoista logika były bez wątpienia ekscytujące, podobnie zresztą jak chili. Nie uczyniłby jednak papryki podstawą diety.

Poza tym Cassie przede wszystkim interesowała własna kariera i z pewnością nie widziała siebie w roli kury domowej. Nie potrafił jednak opanować seksualnego podniecenia na samą myśl o tym, że ta kobieta czeka na niego w domu. Jeśli chodzi o niego, dziś dopiero będzie ich prawdziwa noc poślubna. Chciał, by zatarła ona całkowicie wspomnienie pierwszej.

Tym razem nie upije się i nie straci kontroli nad sytuacją.

W korytarzu po drugiej stronie recepcji panowały ciemności, co oznaczało, że reszta personelu wyszła już do domu. Gideon nie zdziwił się jednak, zastając swoją sekretarkę na stanowisku pracy.

- Powinno cię tu nie być od dwudziestu minut. Nie próbuj naciągać mnie na nadgodziny, kiedy specjalnie poleciłem ci iść do domu.

Pani Pittinger pracowała dla niego, odkąd założył firmę. Jej twarz pokrywała gęstsza siatka linii niż mapę sejsmiczną, a fryzura była postrzępioną masą różnych odcieni srebra i splotawej żółci. Jej biust przywodził na myśl dziób statku powietrznego i Gideon wielokrotnie zastanawiał się, jaka konstrukcja utrzymuje to wszystko dumnie wypięte do przodu. Była nieuprzejma, lojalna i aż do bólu szczerą w każdej sprawie, jeśli nie dotyczyła jej wieku. Nigdy też nie nauczyła się sprawnie posługiwać komputerem.

- Zamknij się, Wilde - warknęła. - Lepiej przestań bawić się swoimi mapkami i zatrudnij dla mnie jakąś pomoc. Inaczej będziesz musiał zapłacić fortunę za nadgodziny. Fortunę - powtórzyła z zadowoleniem. - Wydobędę z ciebie te pieniądze.

- Pijawka - mruknął. - Jeśli nie masz żadnej asystentki, to tylko twoja wina. Wystraszyłaś wszystkie, które dla ciebie zatrudniałem.

- Ale to z twojego powodu zwolniła się panna Heines. Gideon nie miał ochoty na dalszą kłótnię, zwłaszcza że w tej ostatniej sprawie pani Pittinger miała rację. Przeniósł wzrok na stojące na bocznym stoliku pudło z kwiatami.

- Świetnie. Dostarczono je na czas. - Zmarszczył brwi.

- Ale nie wygląda mi to na dwa tuziny.

- Zamówiłam tylko tuzin. - Drukarka ruszyła do akcji, a pani Pittinger odsunęła się do tyłu z krzesłem. - Mówiłam już: tuzin dzisiaj. Dwa tuziny za miesiąc. - Wstała.

- Zamówiłam też szampana.

- Dziękuję - warknął Gideon, starając się zapanować nad ogarniającą go irytacją.

Pani Pittinger sięgnęła po torebkę.

- Nie liczyłam na wyrazy wdzięczności. Gideon wyjął portfel.

- Ile jestem winien za szampana?

Mruknęła coś niezrozumiałego, nie podnosząc na niego oczu.

- Ile?

Popatrzyła na niego z wyraźnym niezadowoleniem.

- Powiedziałam, że szampan jest ode mnie. Moje gratulacje.

- Dziękuję. - Nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Pani Pittinger spojrzała na niego podejrzliwie.

- Sądziłam, że ta laleczka Barbie rzuciła cię.

- Ożeniłem się z siostrą Ryana O'Grady, Cassie - odparł wyniośle. - Nie z Melissą.

Przynajmniej udało mu się ją zadziwić.

- Z tą artystką? Hmm - mruknęła. - No, cóż, zobaczymy. Wyszli razem z biura, a kiedy stanęli przed windą, Gideon dwukrotnie przycisnął klawisz „dół”.

- Spieszysz się, Wilde?

- Nie - odparł obojętnie. - O tej porze wszędzie będą korki.

Jego sekretarka zaśmiała się cicho.

- I obawiasz się, by nie wystygł przygotowany przez żoneczkę obiad?

- Cassie rzeczywiście umie dobrze gotować - powiedział, przyjmując jej słowa za dobrą monetę. Ryan wiele razy wychwalał talent kulinarny siostry.

- No, nie wiem. - Pani Pittinger potrząsnęła głową z powątpiewaniem. Drzwi otworzyły się. - Mój drugi mąż był rzeźbiarzem - oświadczyła, wchodząc do środka. - Artyści to czarujący ludzie. Namiętni. Lecz raczej nie domatorzy.

Podążył za nią zdumiony. Pani Pittinger i namiętność?

- Nie wiedziałem, że byłaś dwukrotnie zamężna.

- Trzykrotnie - poprawiła go z wyraźną satysfakcją. -Lubię mężczyzn.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Gideon rozmyślał nad słowami sekretarki. Miał powody przypuszczać, że jego żona też lubi mężczyzn, a przynajmniej jednego: swojego męża.

W życiu rzadko wszystko układa się tak, jak byśmy tego chcieli.

Gideona tknęło przecucie już, gdy parkował samochód. Jego miejsce zajmował szeroki chevy, przy którym dwaj mężczyźni mocowali się z paskudnym, pobrudzonym farbą stolikiem. Jeden z nich miał na sobie bawełnianą koszulkę, drugi prezentował nagi gors. Żaden z nich nie wyglądał na pracownika firmy przewozowej. Podejrzenia Gideona wzbudził też muskularny facet z kolczykiem w uchu, dźwigający ogromne pudło wypełnione książkami. Zanim wysiadł z windy, gdzie powitały go głośne hardrockowe dźwięki dochodzące z otwartych na oścież drzwi jego własnego mieszkania, Gideon pożegnał się z perspektywą gorącego obiadu.

Wciąż nie był jednak przygotowany na to, co czekało na niego w środku.

Rozstawione na podłodze pudła nie były zaskoczeniem. Spodziewał się ich. Ogromna ilość rozrzuconych dokoła śmieci stanowiła jednak pewien szok.

Z jednego końca kanapy zwieszał się ku ziemi wielobarwny stos ubrań. Jasnożółta ceramiczna lampa balansowała na przeciwległym krańcu, zaś przestrzeń pośrodku zajmowały ręczniki, pościel oraz imponujący koc tkany w indiańskie wzory.

Także druga kanapa była zapełniona. Leżały tam zarówno jego rzeczy przeniesione z pokoju gościnnego, jak zdecydowanie dziwne zbiory Cassie. Przeznaczenia niektórych przedmiotów nie potrafił wręcz odgadnąć. Czemu na przykład mogła służyć tandetna figurka oblepiona muszelkami? Wszędzie tłoczyły się meble przeniesione tutaj z obu pokojów gościnnych. Na wprost siebie ujrzał fantazyjną konstrukcję wieży zbudowanej z szuflad komody. Resztę

przesłaniał stojący pionowo materac, z którego ściągnięte pościel i narzuta zwinięte w kłęb gniotły się w rogu kanapy. Widok Cassie przebrał miarę jego gniewu.

Była zwrócona do niego plecami. Podobnie jak mężczyzna, na którego ramionach siedziała, kotłując się lekko w rytm ogłuszającej muzyki. Zawieszała na ścianie tkaninę stanowiącą dziwną płataninę sznurków, piór i gałązek. Oryginalna kompozycja dosięgała podłogi, choć Cassie przypinała ją wysoko wyniesionymi w górę rękami... siedząc na barkach innego mężczyzny. Opierała nogi na piersiach tamtego, a obcy

przytrzymał jej łydki. Jego blond włosy kontrastowały ostro z granatem dzinsów Cassie i ciemnozielonym odcieniem jej koszulki. Mężczyzna śmiał się głośno. Gideon milczał. Nie był pewien, czy potrafi wyrazić uczucia, jakie obudziły się w jego sercu. Jednym gwałtownym ruchem wyciągnął z gniazdka wtyczkę magnetofonu. Cisza nie trwała długo.

- Hej, Cassie, ptaszku - zawołał mężczyzna z kolczykiem, który wszedł nie zauważony przez Gideona. - Zmieniłem zdanie. Wezmę za moją pomoc tę lampę, a nie twoje słodkie ciało. Nie wydaje mi się, żeby ten facet docenił mój pierwszy wybór. Cassie zastanawiała się, dlaczego Nugget wyłączył muzykę. Nie zwróciła uwagi na jego słowa, Nugget często opowiadał rzeczy nie mające znaczenia. Schyliła głowę, by przyjrzeć się swemu dziełu, lecz w tym samym momencie także Mo się odwrócił. Czując, że traci równowagę, Cassie chwyciła mocno przyjaciela za szyję.

- Mówiłam ci przecież, że lepiej na tym wyjdiesz, biorąc lampę, Nugget. Ja... och... - Odczuła naraz gorąco i zdenerwowanie. Kilka kroków od niej stał Gideon. Nie wyglądał na szczęśliwego. Westchnęła.

- Przepraszam za ten bałagan - zaczęła, poklepując Mo po głowie. - Proszę, postaw mnie. - Mo poniosł ją w stronę jednej z kanap, mrużąc pod nosem, że on od początku był przeciwny temu pomysłowi i że Cassie powinna pokryć koszty jego leczenia.

- Nie jestem aż taka ciężka - usprawiedliwiła się, nie odrywając wzroku od milczącego mężczyzny, który patrzył na nią z ponurą miną. - Musieliśmy tu wiele poprzestawiać, by zrobić miejsce dla moich rzeczy.

- Tak, widzę. - Bardzo ostrożnie postawił na stoliku do kawy butelkę szampana i podłużne pudełko z kwiatami. - Czy firma przewozowa nie zgłosiła się? - spytał uprzejmie. - Gdybyś dała mi znać, zająłbym się tym.

- Przyjechali. - Przygryzła wargę. - Ale... zmieniłam zdanie co do oddania moich rzeczy na przechowanie. Zostawiłam w mieszkaniu kanapę i trochę innych sprzętów, skoro i tak czynsz jest zapłacony do końca miesiąca. Najprostszym wyjściem wydawało się przywiezienie wszystkiego tutaj i przekonanie się na miejscu, co może zostać.

- Rozumiem. Oczywiście, masz prawo zatrzymać swoje rzeczy. Wolałbym jednak, żebyś wcześniej uzgodniła to ze mną.

Atmosfera w pokoju stawała się coraz bardziej lodowata. Cassie uniosła w górę głowę.

- Tak jak uzgadnialiśmy wszystko wcześniej, gdy powiedziałaś mi, co mam zrobić.

- Nie protestowałaś. Nienawidziła jego zimnej logiki.

- Powinam była zadzwonić - przyznała niechętnie. Dalszą wymianę zdań przerwało nadejście Sama i Arturo, dźwigających pochlapany farbą stół. Napięcie rozładowało się w ogólnej wesołości, która towarzyszyła ich próbom przedostania się wraz z niezgrabnym meblem przez drzwi.

Kwadrans później stół znajdował się wreszcie w pokoju, który Cassie zaanektowała na swoją pracownię, jej przyjaciele odeszli do domu, zaś Gideon oparł się o baryk oddzielający część wypoczynkową i jadalną. Pomagając przy przenoszeniu stołu, zdjął marynarkę i rozpiął dwa górne guziki koszuli.

- Świetnie. - Cassie stanęła z rękami opartymi na biodrach pośrodku panującego w pokoju chaosu. - Zostaliśmy sami, możesz już powiedzieć, jaka to ze mnie samolubna idiotka. Powinam była zadzwonić, kiedy zmieniłam zdanie. Wiem, że powinam, ale małżeństwo wciąż jest dla mnie czymś nowym i nie do końca oswojonym.

- Nie mam ochoty się sprzeczać, Cassie. - Jego słowa brzmiały sucho i obco. Skinął głową w stronę białego pudła. - Lepiej otwórz to. Przyda im się woda.
Och, do licha, może prawdziwa kłótnia usunęłaby ten wyraz obojętności z jego twarzy. Chciała, żeby się pokłócili. Ale pragnęłaby też dowiedzieć się, co jest w pudełku. Coś, co potrzebuje wody. Chyba nie złote rybki, pomyślała, idąc powoli w stronę niskiego stolika.
- Och! - Uśmiechnęła się na widok czerwonych róż o długich, smukłych łodyżkach. - Są piękne. - Pochyliła się i ostrożnie wyjęła kwiaty. - Mogłabym cały dzień mieszać kolory i nie uzyskać tak intensywnej barwy. A ten zapach... - Obróciła ku niemu zachwyconą twarz. - To drugi raz, kiedy dostaję od ciebie kwiaty.
- Tak? Obawiam się, że nie pamiętam poprzedniej okazji.
Chłodna uprzejmość tonu jego głosu i brak zainteresowania były niczym policzek.
- Wczoraj. Mój ślubny bukiet. - Który teraz leżał na dolnej półce lodówki. - Ale, oczywiście, nie możesz tego pamiętać. Prawda?
Sączył drinka, przyglądając się Cassie znad krawędzi szklanki.
- Pani Pittinger będzie pewnie przyjemnie dowiedzieć się, że doceniłaś zamówiony przez nią bukiet.
- Pani Pittinger? - Zaskoczona Cassie starannie odłożyła róże z powrotem do pudełka.
- Moja sekretarka. Będę musiał was sobie przedstawić.
- Postawił na barku nie dokończonego drinka. - Może i dobrze się stało, że byłem dzisiaj świadkiem tego... zamieszania. Rok to wystarczająco długi okres, jeśli mamy razem zamieszkać. Powinniśmy określić jasno, jakie są nasze wzajemne oczekiwania. - Ruszył w jej stronę. - Chociaż sądzę, że ja przynajmniej mam już pewne pojęcie na temat twoich potrzeb finansowych i... innych.
Cassie oparła dłonie na biodrach.
- Nie masz najmniejszego pojęcia o tym, czego potrzebuję.
- Och, jestem przekonany, że nie masz racji. Ale nie musisz się martwić, Cassie. Nie jestem nierozsądny. Podoba mi się twój impulsywny charakter i nie zamierzam czynić ci żadnych zarzutów z powodu tego, co wydarzyło się w przeszłości.
- Co za wielkoduszność!
- Ale teraz - ciągnął, zatrzymując się krok przed nią- sytuacja się zmieniła. Jakikolwiek były dotąd twoje zwyczaje, teraz jesteś moją żoną i nie będę tolerował tego rodzaju przedstawień jak dzisiejsze.
Nie była przygotowana na tak gniewne i złośliwe oskarżenia.
- Przedstawień? - Podniosła głos. - Co dokładnie masz na myśli?
- Mówię o scenie, którą obejrzałem dzisiaj: moja żona ujeżdża innego mężczyznę, otaczając nogami jego głowę.
Cassie zbladła. Przez długą chwilę nie mogła zrozumieć usłyszanych przed chwilą słów. Potem odwróciła się, chcąc uciec jak najdalej od Gideona.
Udałoby się jej, gdyby nie zawadziła nogą o puste pudło. Wyciągnął rękę i zatrzymał ją.
- Do diabła, Cassie. Czy ucieczka to jedyne, na co umiesz się zdobyć?
Wyrwała Gideonowi swoje ramię, zwracając ku niemu zagniewaną twarz.
- Zostaw mnie.
- Nie, dopóki nie zrozumiesz i nie zgodzisz się na moje warunki.
- Warunki? Jeśli chcesz, żebym zerwała przyjaźnię z osobami przeciwnej płci, możesz...
- Nie chcę, żebyś miała innych kochanków, dopóki jesteśmy małżeństwem.

- Świetnie! - krzyknęła i obiema rękami odepchnęła go od siebie. Bardzo zdziwiony, musiał cofnąć się o krok. - Doskonale! Nie będę miała kochanków, dopóki jesteśmy małżeństwem, i to samo - pchnęła go raz jeszcze - odnosi się do ciebie!
Na jego twarzy nie było chłodu, kiedy znów ruszył w jej stronę. Instynktownie cofnęła się.

- Naprawdę, Gideonie, to logiczne, że powinniśmy poznać się lepiej, zanim nasz związek... nabierze... bardziej intymnego charakteru.

- Znamy się od szesnastu lat. - Zrobił kolejny krok do przodu.

Cassie stanęła tak, by oddzielał ich stolik do kawy.

- Hm... cóż, może przez te lata nie zwracałeś na mnie zbyt wiele uwagi. Wciąż sądzisz, że poślubiłam cię dla pieniędzy, prawda? A twoje dzisiejsze oskarżenia... - Rana była zbyt świeża, by mogła o niej mówić. Nie miała też ochoty usprawiedliwiać siebie, wyjaśniając preferencje seksualne Mo. Gideon nie powinien zmuszać jej do tego. Wyminął stolik.

- Teraz zwracam na ciebie uwagę. - Zabrzmiało to niemal jak groźba. - Chcę poznać cię o wiele, wiele bliżej.

Schowwała się za kanapę.

- Przestań, Gideonie. To mnie stresuje.

- Dobrze.

Zachowywał się bardzo dziwnie.

- Jeśli obawiasz się, że byłam niedyskretna, nie musisz się martwić. To właśnie jeden z powodów, dla którego moje rzeczy są rozrzucone po całym mieszkaniu. Nie chciałam, by wiedzieli, że nie wprowadzam się do twojej sypialni.

- Dziękuję - powiedział cierpko. - To bardzo ładnie z twojej strony. Choć niepotrzebnie zadawałaś sobie trud.

Nie była na to przygotowana. Nie spodziewała się, że Gideon może zaatakować tak szybko. Przyciągnął ją mocno do siebie.

- Jesteś moją żoną - oświadczył ochryplym, gardłowym głosem. - Niezależnie od tego, jak zaczęło się nasze małżeństwo i nawet jeśli zawiodłem cię zeszłej nocy, będziesz spała w moim łóżku. Kiedy ci na to pozwolę...

Gorąco. Zniewalające zmysły. Jęknęła, czując na ustach smak warg Gideona.

Jej zapach, dotyk. Smak jej spragnionych ust. Nic więcej nie miało znaczenia. Objął dłoń jej pierś. Pragnął znaleźć się wewnątrz jej rozpalonego ciała. Teraz. Szybko.

Rozpiął dzinsy Cassie, zanim jeszcze uświadomił sobie, że chce to zrobić. Gdyby nie spróbowała mu pomóc, niezgrabnie zawadzając ręką o jego dłoń, posiadłby ją natychmiast na podłodze zastawionego jej rzeczami pokoju. Ten ułamek sekundy pozwolił mu usłyszeć głos własnego zatrwożonego serca.

Nie możesz ulegać emocjom. Nie wolno ci pójść w ślady ojca.

Położył dłoń na jej ramionach i odetchnął głęboko. A potem odsunął Cassie od siebie.

Może gdyby nie patrzyła na niego tak ufnie, gdyby jej usta nie były tak opuchnięte...

Może wtedy umiałby wytłumaczyć rozsądnie swoje zachowanie.

Kiedy jednak wyciągnęła ku niemu rękę, na której palcu połyskiwała obrączka, mógł zrobić już tylko jedno: wyjść bez słowa. Bez ostatniego spojrzenia w stronę Cassie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dwadzieścia trzy po dwunastej Cassie przestała czekać na powrót Gideona. Wcześniej rozpakowała pudła z kuchni i przełożyła do szafy ubrania, by zapełnić czymś czas oczekiwania. Nie potrafiła wzbudzić w sobie gniewu. Nie mogła zapomnieć wyrazu jego oczu. Kiedy odchodził, widziała, że Gideon cierpi bardziej niż ona sama. Wiedziała też, że ten pocałunek na długo pozostanie w jego pamięci.

Nie była nawet odrobinę śpiąca. Odrzuciła kołdrę i wstała. Nieprędko uda się jej zasnąć. Musi zabrać się albo do malowania, albo do jedzenia. A ponieważ pracownia nie była jeszcze gotowa, nadeszła najwyraźniej pora, by zainteresować się zawartością lodówki. Kuchnia, niczym przeniesiona z żurnala, połyskiwała nieskalaną bielą eleganckich szafek, kontrastujących z czarną, lśniąca powierzchnią blatów. W ogromnej lodówce stało mleko, wiktuały przywiezione przez Cassie i pizza, którą zamówiła po wyjściu Gideona. Spizarnia była większa niż łazienka w jej poprzednim mieszkaniu. Zanim jednak wypakowała swoje zapasy, obszerne pomieszczenie świeciło pustkami. Znalazła tam jedynie trzy pudełka płatków śniadaniowych i puszki z chili, w które Gideon najwyraźniej zaopatrywał się hurtowo. Paczka miodowych, chrupiących krążków była niemal pusta. Obok stało nie tknięte muesli.

A więc Gideon był łasuchem. Powinna na śniadanie podać mu zimną pizzę, ale przecież tego właśnie oczekiwał. Nie, jutro rano przygotuje naleśniki.

Była pewna, że Gideon wróci do rana. Dokąd mógłby pójść? Z pewnością nie do Ryana. I nie do Melissy. Nie poszedłby też do biura, bez wzięcia prysznic i zmiany ubrania.

Wyjęła z kuchenki mikrofalowej kawałek pizzy, wzięła papierową serwetkę i przeszła do salonu. Usiadła na puszystym dywanie na wprost zajmującego całą ścianę okna. To było naprawdę piękne mieszkanie... pod warunkiem, że ktoś lubił czernie i szarości.

Jadła ostrożnie, nie chcąc poplamić dywanu. Jak na razie była zadowolona z tego, co udało się jej dokonać w tym wnętrzu. Zawiesiła kilka obrazów, swoją ulubioną abstrakcję i lekko surrealistyczną scenę przedstawiającą czerwonego konia pędzącego w tumanach żółtego kurzu. Plecioną rzeźbą, którą zamocowała na ścianie dzięki pomocy Mo, prezentowała się doskonale. Jej turkus i rdzawą czerwień powtarzały wzory indiańskiego koca, który zarzuciła na oparcie jednej z kanap.

Te kanapy. Zmarszczyła brwi pod wpływem nagłej irytacji. Gideon zarabiał tak dobrze, że dawno już mógł je wymienić. Nie musiałyby teraz patrzeć na nie i przypominać sobie tamtego wieczoru...

Padło. Pamiętała samochód, którym wybrała się w drogę - rozklekotany gruchot nazwany przez nią Beetle Bailey na pamiątkę leniwego żołnierza z komediowego serialu. Przejechała całą drogę do Garland, nie korzystając z żadnej z tras szybkiego ruchu łączących Dallas z przedmieściami, ponieważ w Bailey nie wchodziła czwórka. Gideon był zaskoczony, kiedy otworzył drzwi. Można by powiedzieć, że wręcz zszokowany.

Gdyby choć cel jej odwiedzin nie był tak oczywisty. Ale w wieku dwudziestu lat nie grzeszy się subtelnością. Miała na sobie czerwoną suknię. Bardzo obcisłą.

Przynajmniej nie zaczęła od wyznania, jak bardzo go kocha. Cassie miała nadzieję, tym właśnie łudziła się przez ostatnich osiem lat, że Gideon przypisał jej zachowanie rozbuzowanym hormonom wieku dojrzewania.

Nie przyszło jej do głowy, że Gideon może nie być sam.

Jedna z tych piekielnych kanap stała tyłem do wejścia, tak że Cassie zdała sobie sprawę z obecności kobiety, dopiero gdy ta usiadła i zwróciła do niej uśmiechniętą twarz. Długie, złociste włosy. To była pierwsza rzecz, jaką zobaczyła, stojąc w progu z rękami splecionymi na szyi Gideona. Potem zauważyła, że dekolt i ramiona kobiety są nagie. Dostrzegła też czarny koronkowy stanik przerzucony przez oparcie kanapy. Cassie nie pamiętała, co powiedziała jej rywalka. Głównie dlatego, że przez następne miesiące i lata, wciąż na nowo odtwarzając w pamięci ten scenariusz, wielokrotnie zmieniała własne kwestie na bardziej celne i kąśliwe. W słowach kobiety brzmiało rozbawienie i wyrozumiałość. Och, oczywiście, doskonale wiedziała, że Cassie nie stanowi dla niej zagrożenia. Było to coś w rodzaju: „Kim jest twoja mała przyjaciółka, Gideonie?”

Spojrzała ze złością na jasnoszare obicia. Dlaczego wciąż wybierał blondynki? Powinien mieć bardziej oryginalny gust.

Gideon potrzebuje mnie, uznała z przekonaniem, wstając, by odnieść do kuchni zatłuszczoną serwetkę. I lepiej, żeby trzymał z dala od siebie te zimne, wyrachowane blond piękności, w których tak gustował.

Zasnęła o drugiej jedenastej, sześć minut po tym, jak usłyszała trzask otwieranych drzwi.

Gideona powitał zapach świeżo parzonej kawy. Zawijając krawat, zbliżył się do drzwi kuchni i zamarł w progu.

Miała na sobie pasiastą górę od pizamy i nic na dole. Bluza sięgała połowy uda.

Jak ktoś tak drobnej budowy mógł mieć tak długie nogi?

- Za moment będą gotowe.

- Co? - Z trudem przeniósł wzrok na jej twarz. Uśmiechniętą twarz. Uśmiechała się do niego, zamiast ciskać w jego stronę przedmioty i przekleństwa?

- Powiedziałam, że możesz zabierać się do pierwszej porcji naleśników. Proszę, usiądź. Bez słowa przyglądał się, jak Cassie wyjmuje z mikrofalówki dzbanuszek z gorącym syropem klonowym. Postawiła na stole sok pomarańczowy i ubite masło, po czym zasiadła naprzeciw Gideona z filiżanką kawy i gazetą w dłoni. - Moja porcja nie jest jeszcze gotowa - wyjaśniła. - Ty śpieszysz się do pracy.

- Zastanawiam się, czy nie dodałaś czegoś, by odplacić mi za wczorajsze zachowanie.

- Żyj niebezpiecznie - odparła sucho. - Zaczynaj. Nie potrafiąc dłużej opierać się pokusie, postuchał Cassie.

Kilka stron gazety leżało obok jego talerza. Ponieważ Cassie też zagłębiła się w lekturze, nie miał wyrzutów sumienia, czytając. I dopiero wówczas, kiedy włożył do ust ostatni kęs, zauważył, którą część gazety wybrała dla siebie jego żona.

Zmarszczył czoło.

- Po co czytasz ogłoszenia „Dam pracę”?

- Och - mruknęła, zakreślając jakieś ogłoszenie. - Ryan wyrzucił mnie dziś rano. -

Gideon zrobił taką minę, że z trudem powstrzymała śmiech. - Kiedy mój ostatni pracodawca wyciągnął kopyta i dość długo nie mogłam znaleźć nowego zajęcia, Ryan doszedł do wniosku, że potrzebuje kogoś do odbierania telefonów i porządkowania papierów. Prawdę mówiąc jednak, nie bardzo nadajemy się z bratem do tego, by wspólnie pracować.

Sięgnął ponad stołem i wyrwał z jej ręki gazetę.

- Hej!

- Nie mogę w to uwierzyć. - Spojrzał na zakreślone przez nią fragmenty. „Potrzebny sprzedawca”. „Poszukujemy kelnerki”. I kilka podobnych. - Naprawdę zamierzasz ubiegać się o te posady?

- Jestem wcale niezłą kelnerką. Mam to we krwi. Jeśli...

- Nie będziesz pracować. Uniosła brwi.

- Słucham?

- Wydaje mi się, że mówiłem wyraźnie.

- Sama płacę za siebie - odparła stanowczo.

- Nie będziesz pracować byle gdzie z powodu źle pojętej dumy. Jesteś moją żoną i...

Wstała i pochyliła się do przodu, opierając ręce o stół.

- Czyżbyś był jednym z tych półgłówków głoszących, że kobiety nadają się tylko do tego, żeby siedzieć w domu i wychowywać dzieci?

- Oczywiście, że nie. Ale jest różnica pomiędzy tego rodzaju pracą a rzeczywistą karierą.

Wydała jakiś nieartykułowany dźwięk, po czym wstała raptownie. Ku przerażeniu Gideona, jej oczy wypełniły się łzami.

- Cassie, proszę, nie płacz. - Wstał szybko. - Jestem bałwanem.

- Nie płaczę! - krzyknęła, ocierając zwilgotniałe powieki. - Jestem wściekła! Nienawidzę tego, kiedy gniew wywołuje u mnie łzy i nie potrafię już rozumować logicznie, tylko robię z siebie idiotkę. - Patrzyła na niego ze złością, podpierając się pod boki zwiniętymi w pięści dłońmi.

Ta kobieta była dla niego niebezpieczna. Jej oczy błyszczały gniewem, a dwie drobne wypukłości piersi unosiły się szybko pod pomarszczoną bluzą pizamy. Wyglądała pięknie.

- Och, te zajęcia nie są złe same w sobie - zaczął dyplomatycznie - ale twoim powołaniem jest sztuka i nie powinnaś marnować czasu na nic innego. To właśnie miałem na myśli.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Potem kąciki jej ust uniosły się leciutko w górę.

- Tak? - Jej złość zniknęła bez śladu. Zachichotała. - Nie wierzę ci ani trochę, ale dostajesz punkt za dobre chęci. - Sięgnęła po gazetę.

Obserwował, jak Cassie powraca do lektury ogłoszeń. Naprawdę gotowa była zostać kelnerką. Chciała marnować swój czas i talent.

- W moim biurze jest wolna posada - powiedział. Podniosła na niego wzrok.

- Miło mi, że to mówisz, ale ja potrzebuję prawdziwej pracy.

- To jest prawdziwa praca - wyjaśnił - choć może okazać się tymczasowa. Co pewien czas zatrudniam kogoś do pomocy mojej sekretarce. Nie pamiętam, by którakolwiek z tych osób wytrzymała z tą kobietą dłużej niż dwa miesiące.

Czyżby stracił rozum?

Cassie przez dłuższą chwilę przyglądała się mu uważnie.

- To prawda? - Kiedy potwierdził, skinęła głową. -Zgoda. Przynajmniej tym razem nie będę czuła się winna, jeśli nic z tego nie wyjdzie.

Rozejrzał się wokół.

- Możesz zacząć, kiedy już rozlokujesz się tutaj. To praca na pół etatu. Od ósmej do dwunastej. - W ten sposób przynajmniej popołudniami będzie mogła malować.

- Świetnie. - Odwróciła się i ruszyła przed siebie. - Idę więc wziąć prysznic.

Tydzień później Cassie była już pewna, że pani Pittinger minęła się z powołaniem. Ta kobieta powinna być zostać oficerem kontrwywiadu. Miała niezwykły talent przytapywania Cassie na chwilowym nieróbstwie. Ale czy jej umiejętności nie przydałyby się bardziej do tropienia szpiegów niż roztargnionych urzędników?

Cassie westchnęła. Nic nie układało się dobrze. Ani tutaj, ani w domu. Och, nie, bynajmniej nie kłócili się z Gideonem. Widywała go zbyt krótko, by mogły wyniknąć między nimi powody do sprzeczki. Dzięki służbowym kolacjom i pracy po godzinach Gideonowi udawało się rzadko bywać w domu. Kiedy już pojawiał się w mieszkaniu, był uprzedzająco grzeczny i znikał w swoim pokoju natychmiast po zamienieniu z nią kilku zdawkowych słów. Jeśli natomiast kiedykolwiek martwiła się, że Gideon może okazywać jej jakieś szczególne względy w pracy, jej obawy były całkowicie bezpodstawne.

Traktował ją w ten sam sposób, w jaki odnosiłby się do każdego nowo zatrudnionego pracownika. Nie zauważał jej.

Spoglądała na panoramę miasta. Uprzejmość Gideona była niczym szklana tafla okna. Pozwalała mu oglądać świat z bezpiecznego dystansu. A jednak Cassie była pewna, że w rzeczywistości bardzo potrzebował tego bliskiego kontaktu, od którego tak starannie się izolował. Cassie przycisnęła dłoń do zimnej szyby i pomyślała o Vegas.

Gideon nie odstępował Cassie od chwili, gdy wreszcie zgodziła się na ślub. W samolocie przez cały czas trzymali się za ręce. Kiedy meldowali się w Treasure Island Resort, Gideon obejmował ją mocno. Oszołomiona tą nieoczekiwaną bliskością, Cassie zapomniała o strachu.

Jednak już w taksówce Gideon przestał jej dotykać. Oglądała przez okno rozświetlone kolorowymi neonami ulice.

- Boisz się? - spytał Gideon.

- Nie, oczywiście, że nie. - Przycisnęła dłoń do żołądka. Nie było jeszcze za późno, by się wycofać. Spojrzała na niego.

- Dlaczego, u licha, nie? Powinnaś się bać. - Mówił wyraźnie i zdecydowanie. - Co to za ślub, kiedy panna młoda wcale się nie boi?

- A co z panem młodym? - spytała, rozmasowując żołądek, który zaciskał się coraz mocniej.

- Panna młoda powinna się bać - upierał się. Nawet pijany, Gideon nie chciał przyznać się do strachu.

Przyptyw czułości złagodził napięcie i Cassie wsunęła dłoń w jego rękę.

- Trochę się boję - przyznała. - Gideonie?

- Hmm? - Wyglądał przez okno, jakby był nieświadomy jej obecności.

- Czy odczuwałeś strach, gdy miałeś poślubić Melissę?

Przez dłuższą chwilę milczał i Cassie sądziła już, że nie zechce jej odpowiedzieć.

- Nie - odezwał się wreszcie. - Nie czułem najmniejszego niepokoju.

Zacisnął palce na jej dłoni.

- To normalne, jeśli się trochę boisz, Cassie.

Czy pamiętał tę jazdę taksówką i swoje słowa? Odwróciła się, by popatrzeć na ścianę znajdującą się na wprost biurka Gideona. Zawisnie tutaj obraz, który zaczęła malować w niedzielę. Dokładnie w miejscu tego nieciekawego zegara. Będzie przypominał Gideonowi o niej zawsze, kiedy podniesie wzrok.

- Kiedy duża wskazówka pokaże dwunastą, jesteś wolna - usłyszała surowy damski głos. - Ale przedtem masz parę rzeczy do zrobienia.

Cassie drgnęła, upuszczając trzy z map, które przyniosła do gabinetu Gideona. W progu stała pani Pittinger, emanując zniecierpliwieniem od czubków palców swych drobnych eleganckich stóp po wielobarwne końcówki starannie wytapirowanych włosów.

- Jak pani to robi? - spytała z wyrzutem Cassie, nachylając się, by podnieść mapy. - Nawet nie słyszałam otwierania drzwi.

- Myślę, że nie usłyszałaabyś nawet orkiestry dętej. Pewnie marzyłeś o Gideonie. - Zmarszczyła brwi. - Lepiej, żeby to był Gideon.

- Myślałam o obrazie - odparła Cassie, przechodząc przez pokój, by rozwiesić mapy. - Kiedy nie muszę spełniać pani rozkazów, maluję. Z pewnością nie spędzam całych dni, usychając z tęsknoty za Gideonem.

Cassie wydawało się, że kąciki ust pani Pittinger drgnęły leciutko, ale może było to tylko złudzenie.

- Postaraj się wykorzystywać całą swoją inwencję w malowaniu, a nie przy segregowaniu dokumentów.

- Znalazłam przecież ten list. - Cassie zawiesiła ostatnią mapę i uśmiechnęła się. We wzroku pani Pittinger było tyle podejrzliwości. - Proszę się nie martwić. Zaczynam orientować się, o co tu chodzi - oświadczyła.

- Sądzę więc, że musiałaś mieć ważny powód, by umieścić mapy fizyczne w sekcji sejsmicznej?

Cassie zerknęła raz jeszcze w stronę stojaka z mapami i westchnęła.

O wpół do dwunastej, przytrzymując brodą słuchawkę, Cassie wystukiwała jednym palcem list na komputerze. W małym pokoiku, który nazywała żartobliwie swoim gabinetem, mieściło się z trudem biurko, krzesło i kosz na śmieci. Na ścianie na wprost niej wisiał ogromny poma-rańczowo-czerwony abstrakcyjny obraz, jej ulubiony z okresu fascynacji kubizmem.

Cassie od początku polubiła komputer. Zdolność tego urządzenia do poprawiania jej błędów była nieograniczona.

- Chyba nie zjem dzisiaj lunchu z tobą i Mo, Jayo. Muszę napisać ten list.

- To może być późny lunch. Jak długi jest ten list?

- Nie dowiem się, dopóki nie skończę. Poczekaj chwilę. - Cassie nacisnęła przycisk „play” i odsłuchiwała kolejne zdanie. - Jak się pisze „absorpcja”?

- Skąd miałabym wiedzieć? Wpisz coś i niech komputer to skoryguje.

- Dobrze. - Cassie była pewna, że dojdzie do tego, jak uruchomić funkcję korekty błędów. Wcześniej czy później.

- Jak twoja praca? - chciała wiedzieć Jaya. - Zauważ, że taktownie nie pytam o sprawy małżeńskie.

- Praca jest w porządku. Oczywiście, szef mnie nienawidzi, ale...

- Gideon cię nienawidzi?

- Nie on, lecz pani Pittinger, i nie jestem pewna, czy ona rzeczywiście mnie nienawidzi, czy tylko uważa, że kiepska ze mnie asystentka...

- To fakt.

- ...i że jestem oportunistką czy kimś takim i że zastawiłam na Gideona pułapkę, chcąc, by ożenił się ze mną. Jeśli zaś chodzi o niego, to traktuje mnie jak każdego innego pracownika, co niekoniecznie tak sobie wyobrażałam. - Napisała wyraz „apsorpcja”. Nie wyglądało to dobrze. - Sądziłam, że gdy zaczniemy pracować razem, będziemy się także

więcej widywać. - Potrzebowali czasu, by Gideon miał szansę zakochać się w niej lub by ona uzyskała pewność, że to się nigdy nie stanie. - Na razie nie jest dobrze.

- Powinnaś wzbudzić w nim zazdrość.

- To chyba kiepski pomysł, Jayo.

- Dlaczego nie? Jestem pewna, że gdybyś trochę rozdmuchała ten płomień, Gideon przestałby cię ignorować.

- Och, nie. Zdecydowanie nie. - Cofnęła kursor i literę „p” zastąpiła przez „b”. A-b-s-o-r-p-c-j-a? - Mówiłam ci... och! - Cassie wyprostowała się, zauważając w progu sylwetkę swojej przełożonej. - Pani Pittinger.

- Dzwonił Gideon - poinformowała ją starsza dama z wyraźną dezaprobatą w głosie. - Połączyłabym cię z nim, ale twoja linia jest od dłuższego czasu zajęta. Zapisałam wiadomość.

Cassie pośpiesznie powiedziała Jayi, że umówią się innego dnia, i odłożyła słuchawkę.

- Tak? - zwróciła się do szefowej, unosząc brwi, by wykreować na twarzy ten wyraz chłodnej uprzejmości, z jakim zwykle Gideon zwracał się do niej.

- Może ci tak zostać na zawsze, jeśli nie będziesz ostrożna - ostrzegła ją pani Pittinger. Dokładnie tak samo mogłaby odezwać się do niej babcia. Cassie wybuchnęła śmiechem.

Pani Pittinger kiwnęła głową, jakby Cassie potwierdziła jakieś jej przypuszczenie.

- Gideon chce, żebyś zjadła z nim dzisiaj lunch u Grishoma - oznajmiła, wymieniając nazwę jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji w mieście. - Dołączy do was panna Wilde.

Cassie uniosła w górę brwi.

- Jego ciotka. Eleanor Wilde - wyjaśniła pani Pittinger, a potem dodała z ponurą satysfakcją: - Uważaj na tę starą jędzę. Nie sądzę, żebyś wzbudziła jej sympatię.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Dla mnie stek średnio wysmażony, ale proszę go przygotować dopiero gdy... - Gideon zawahał się przez moment - ...gdy przyjdzie moja żona.

- Twoja żona - powtórzyła siedząca naprzeciwko kobieta, gdy tylko kelner zdążył się oddalić. - Powiedz mi, Gideonie, czy to jakiś rodzaj młodzieńczego buntu?

Eleanor Wilde starała się elegancko. Białe włosy i miękka, cienka skóra harmonizowały z delikatnymi rysami jej twarzy, wąskimi dłońmi i drobnymi nadgarstkami. Odkąd Gideon sięgał pamięcią, zawsze miała tę samą fryzurę. Wyglądała w tym uczesaniu wyjątkowo dobrze, choć nigdy nie dawała poznać po sobie, że o tym wie. Eleanor Wilde starała się sprawiać wrażenie osoby nie ulegającej zwykłym ludzkim słabościom.

- Znam Cassie od lat - odparł wymijająco.

- Także moją przyjaciółkę, Barbarę, znasz od lat, a jednak nigdy nie przyszło ci do głowy, by uciec z nią do Las Vegas i wziąć tam ślub. - Starsza pani wzdrygnęła się. Gideon wiedział, że ciotkę przerazi wiadomość o jego ślubie. Dlatego aż do wczoraj zwlekał z zawiadomieniem jej o tym, wykorzystując pretekst, jakim była jej nieobecność w mieście.

- Znam twoją opinię na ten temat - stwierdził sucho. - Zgodziłem się, kiedy nalegałaś na natychmiastowe spotkanie z Cassie. Ale nie pozwolę, żebyś źle ją traktowała tylko dlatego, że zawiodłaś się na mnie.

- Nie musisz uczyć mnie dobrych manier - zwróciła mu uwagę z przyganą w głosie. - Och, Gideonie. Gdybyś trochę poczekał... Jestem przekonana, że doszlibyście z Melissa do porozumienia.

- Czy nie przeszło ci przez myśl, że mogę nie mieć ochoty dochodzić do porozumienia z kimś, kto wystawił mnie do wiatru parę dni przed ślubem? - Zamiast tego uciekł do Las Vegas z Cassie, która... powoli doprowadzała go do szału.

- Zerwanie zaręczyn było ze strony Melissy dość niefortunnym posunięciem - przyznała Eleanor - ale twoja... decyzja o ślubie może mieć znacznie bardziej opłakane skutki. Gideon zmrużył oczy.

- Uważaj. Bardzo uważaj na to, co mówisz.

- Och, nie mam zamiaru obrażać twojej żony, skoro nawet jej nie znam. Ale rodzina, Gideonie. Jej matka jest kelnerką. To chyba świadczy o poziomie intelektualnym i kulturalnym. Zaś brat twojej... żony, którego kilka razy miałam okazję spotkać...

- Jest moim przyjacielem.

Ciotka wyraźnie okazywała zniecierpliwienie.

- Wiem i nie mam nic przeciwko niemu osobiście. Z tego, co słyszę, odnosi nawet pewne sukcesy. Ale jest bardzo emocjonalny. Impulsywny. A Cassandra, jak mówisz, jest artystką. Biorąc to wszystko pod uwagę, łącznie z faktem, że była gotowa w jednej chwili podjąć tak ważną życiową decyzję, czy dziwisz się, że wyrobiłam sobie pewne zdanie na jej temat? Artystce być może potrzebna jest odrobina szaleństwa, ale czy rzeczywiście chcesz być jej mężem?

Wiedział, o czym mówi ciotka. Wiedział i ta świadomość wywołała w nim dreszcz.

Odczuł dojmujący chłód, który zdawał się przenikać nie tylko jego ciało. Wspomnienie ojca napełniło go przerażeniem. Na szczęście nie musiał ciotce odpowiadać. W końcu sali dostrzegł zmierzającą w ich stronę Cassie. Miała na sobie jedno ze swych „biurowych” ubrań. Zdążył już zorientować się, że jej podział garderoby na ubrania „codzienne” i „wyjściowe” wiąże się przede wszystkim z tym, czy są one ubrudzone olejną farbą, czy też nie. Dziś Cassie występowała w intensywnie pomarańczowej sukni, będącej rodzajem kompromisu pomiędzy rzymską togą a dziecięcą piżamką. Sukienka była seksowna, krótka i zdecydowanie oryginalna.

Gdyby Cassie poświęciła całą noc na dobranie stroju najmniej odpowiedniego na spotkanie z Eleanor Wilde, nie mogłaby trafić lepiej. Jeśli chciała pobudzić jego krew do szybszego krążenia, również odniosła sukces.

Gideon nie był świadom, że jego usta wygięły się delikatnie, gdy zobaczył Cassie. Nie umknęło to jednak uwagi jego ciotki.

Potwierdziły się najgorsze obawy Eleanor. Cassandra O'Grady, Eleanor nie potrafiła zmusić się do dodania „Wilde”, posiadała wdzięk młodej kotki. Była urocza, impulsywna, trochę niezręczna i wrażliwa na wszystko, co działo się dokoła i tak naturalna jak hurysa, na której spotkanie w rajach liczą pobożni muzułmanie.

Eleanor zdawała sobie sprawę, że bratanek uważa ją za kobietę surową i pozbawioną uczuć, oddaną całkowicie matematyce, którą wykładała w lokalnym college'u. Mylił się. Jeśli matematyka była czymś nadrzędnym w jej świecie, to Gideon był słońcem, wokół którego obracało się jej życie. Gotowa była zrobić dla niego wszystko. Wszystko.

Wyrwanie go z tego nieszczęsnego małżeństwa, doszła do wniosku na długo przed końcem posiłku, może okazać się trudniejsze, niż sądziła. Nie było jednak rzeczy, na którą nie zdecydowałaby się dla dobra Gideona.

- Mam wrażenie, że lunch wypadł nieźle. Jak sądzisz? - spytała Cassie podniecona spotkaniem z Eleanor Wilde, kiedy wraz z Gideonem przedzierali się przez zatłoczoną ulicę na parking. - Twoja ciotka może mieć jeszcze jakieś obiekcje względem nas, ale to dosyć naturalne, zważywszy na okoliczności. A jej przyjaciółka chce wydać dla nas przyjęcie. To chyba oznacza, że Eleanor zaakceptowała nasz związek. Nie sądzisz? - Cassie zamilkła, dostrzegając po przeciwnej stronie mężczyznę w poszarpanym ubraniu. Trzymał przed sobą kartkę z napisem: „Bezdomny. Podejmę pracę za jedzenie”. - Gideonie...

- Nie zamierzam dać mu pracy, Cassie - odrzekł łagodnie Gideon. Przytrzymał jej łokieć, jakby przeczuwał, że za chwilę Cassie zechce podejść do włączki. - Nie.

- Ale, Gideonie...

- Dam mu coś.

Przez resztę drogi spierali się o to, czy ten mężczyzna rzeczywiście potrzebował pracy, czy też był sprytnym żebrakiem, doskonale zdającym sobie sprawę, że nikt w Dallas nie zaproponuje mu posady, choć może trafi się kilka osób, które zechcą wesprzeć go jałmużną.

Malowanie nie szło jej tego popołudnia. Po godzinie Cassie poddała się, wyjęła nowe sztalugi, płótno i podkład i zajęła się nie wymagającym specjalnego zaangażowania przygotowaniem płócien. Tak bardzo wciągnęła ją ta mechaniczna praca, że po raz pierwszy zapomniała o przygotowaniu obiadu. Oczywiście, Gideon akurat tego dnia po raz pierwszy wrócił punktualnie do domu.

Tego wieczora, dokładnie tydzień po ślubie, zjedli przed telewizorem zamówione do domu hamburgery. Gideon rzucił monetą, by zdecydować, czy obejrzą komediowy serial wybrany przez Cassie, czy też preferowany przez niego program przyrodniczy. Wygrała Cassie... w pewnym sensie. Obejrzeli komedię. Nawet śmiali się razem, choć siedzieli daleko od siebie. Cassie czuła się swobodnie i dobrze mimo ogarniającego ją pożądania. Gdy tylko film się skończył, Gideon wstał i na resztę wieczoru zniknął w swoim pokoju z teczką pod pachą.

O ósmej dziesiątej następnego ranka Cassie siedziała przed komputerem, pisząc nie skończony poprzedniego dnia list, kiedy przy jej biurku pojawiła się pani Pittinger.

- No i? - zaczęła bez dodatkowych wstępów. - Jak wypadła konfrontacja z panną Wilde?

- Z panią doktor Wilde - poprawiła ją z wyrzutem Cassie - o czym, jestem pewna, wiedziała pani dobrze i mogła powiedzieć mi przed wyjściem.

- Ale mam nadzieję, że panna Wilde wyjaśniła ci, iż w ten sposób zwracają się do niej jedynie studenci. Ach, nie wierz w to. Lubi, gdy ludzie nazywają ją panią doktor. - Pani Pittinger kiwnęła głową z zadowoleniem, po czym rozejrzała się wokół i zaskoczyła Cassie, dodając: - Potrzebujesz jeszcze jednego krzesła, żeby osoba, która przyjdzie do ciebie z jakąś sprawą, mogła usiąść.

Cassie uniosła w górę brwi.

- Ale to będzie zachęta, by ludzie rzeczywiście przychodzili do mnie i odrywali mnie od obowiązków.

- Czyżbyś potrzebowała dodatkowych pretekstów, by odrywać się od swoich obowiązków? - Zrobiła krok do przodu, by przyrzeć się lepiej wiszącemu za biurkiem Cassie obrazowi. - A więc to rodzaj malarstwa, jakie uprawiasz.

- Moja sztuka jest w tej chwili bardziej reprezentatywna.

- Chyba powinnam więc zobaczyć coś nowszego, ale podoba mi się ten obraz. Spontaniczny, ale z elementami formy wynurzającymi się z chaosu. Ładne pociągnięcia pędzla.

Cassie, znów zaskoczona, patrzyła na panią Pittinger szeroko otwartymi oczami.

Wreszcie uśmiechnęła się.

- Lubi pani nowoczesne malarstwo?

- Moim drugim mężem był Adolfo Madieros.

- Madieros... Ach, ten rzeźbiarz! To on był autorem tych ogromnych multimedialnych instalacji w latach osiemdziesiątych, prawda? Ale słyszałam, że wrócił do gliny.

Spotkałam go kiedyś na przyjęciu. Chciał... - Cassie zamilkła, przypominając sobie obcesową propozycję tego egoistycznego mężczyzny. - Chciałam powiedzieć, że to bardzo utalentowany artysta - dokończyła dyplomatycznie.

Pani Pittinger prychnęła.

- Usiłował cię poderwać, prawda?

Cassie uśmiechnęła się. Nie wiedzieć czemu pani Pittinger najwyraźniej zdecydowała się ją zaakceptować.

- Uznałam, że jest odrażającym typem, i o tym mu powiedziałam. Nie sądzę, by się przejął.

- Cały Adolfo! Świetny rzeźbiarz. Te ręce... za to był chyba najgorszym mężem, jakiego miałam. Zaś Gideon - ciągnęła - może stać się bardzo dobrym mężem, jeśli dasz mu szansę zakochać się w sobie.

Cassie poczuła się zażenowana, ale zmusiła się, by powiedzieć:

- Domyślam się, że teraz usłyszę, jak tego dokonać.

- Nie, jeśli nie potrafisz sama do tego doprowadzić, znaczy to, że, mimo wszystko, nie jesteś kobietą, jakiej Gideon potrzebuje. Chociaż wiązę z tobą pewne nadzieje. - Ruszyła w stronę drzwi. - Przynajmniej powstrzymałaś go przed poślubieniem tej laleczki Barbie, z którą był zaręczony. Ciotka wybrała ją dla niego.

- Naprawdę? - Cassie nie bardzo umiała wyobrazić sobie Gideona pokornie wypełniającego wolę ciotki lub też pozwalającego, by ta osoba manipulowała nim.

- Obawiam się, że jej nie doceniasz. To niezwykła kobieta. I bardzo przebiegła. Nie skończyłaś jeszcze tego listu? Tego, który dałam ci wczoraj?

- Pisałam go, kiedy pani weszła.

Pani Pittinger zerknęła na monitor i westchnęła.

- Miałam nadzieję, że tym razem trafi mi się wreszcie ktoś potrafiący dobrze pisać - powiedziała ze smutkiem i wyszła.

Tego samego popołudnia, gdy zadzwonił telefon, Cassie pośpiesznie optukała ubrudzone wnętrzościami kurczaka ręce.

- Halo?

- Mam nadzieję, że nie zaczęłaś gotować - powitał ją Gideon. - Wrócę późno.

Spojrzała na miskę z nadzieniem i leżącego obok rozkrojonego ptaka.

- Dlaczego w ogóle miałabym cokolwiek gotować? Jest dopiero piąta dwadzieścia. - Byli tydzień i jeden dzień po ślubie, a jej mąż w tym czasie przyszedł do domu na obiad dokładnie dwa razy. - Pozwól, niech zgadnę. Wciąż jesteś w biurze i nagle wyskoczyła jakaś pilna sprawa.

- Tak. Myślę, że będę w domu koło dziewiątej. Nie czekaj na mnie z obiadem. Zamówię sobie coś do biura.

- Świetnie - powiedziała z zadowoleniem. - Wątpię, żebyś mnie zastał, gdy wrócisz. Może wybiorę się do jakiejś knajpki - oświadczyła, pociągając za paski fartucha. - A może pójdę obejrzeć występ Jayi w klubie. Kto wie... - Ze złością rzuciła fartuch na ziemię. - Może spotkam kogoś, z kim przeżyję dziką, szaloną przygodę.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się dziś wieczorem - powiedział Gideon chłodno. - Oczywiście, jeśli zdecydujesz się wrócić do domu.

Cassie nagle zorientowała się, że jej mąż odłożył słuchawkę. Wściekła, wyszła z kuchni. Kurczak może sobie nawet zgnić. Może tutaj zostać, śmierdzieć i wzbudzić w Gideonie wyrzuty sumienia za... za... za co, spytała samą siebie. Za to, że nie dostosował swojego życia do jej oczekiwań, tak jak zrobiła to ona sama, za wszelką cenę starając się sprawić mu przyjemność?

Nic dziwnego, że ostatnio ma problemy z malowaniem, pomyślała z niesmakiem, siadając na kanapie. Tego popołudnia też wcześniej odłożyła pędzle. I dlaczego? Żeby przygotować obiad. Martwiła się, czy ma rozmaryn i czy Gideon lubi squasha. Ale, na szczęście, w porę zorientowała się, jaka z niej idiotka.

Dość. Czasami będzie gotowała. Lubi gotować. Ale nie będzie wypruwała sobie żył, planując i przygotowując codziennie posiłki, których jej mąż nie miał nawet ochoty jeść. Schowała do lodówki kurczaka i nadzienie. Nie znosiła marnować pożywienia. W łazience rzuciła szybko pobrudzoną farbą koszulkę i spodnie, zostawiając je na podłodze.

Po chwili była gotowa. Nietatwo jest starać się o względy mężczyzny, który postanowił cię unikać, pomyślała, przekręcając w zamku klucz. Ale była uparta. I nie zamierzała poddać się łatwo.

Za pięć dziesiątą Cassie otworzyła drzwi mieszkania. Nie zmarnowała czasu. Przyniosła trzy torby. Spoczywały w nich trzy pary kolczyków, czerwona bawełniana koszulka dla niej, kremowożółta koszula dla Gideona i nieprzyzwoicie drogi album malarstwa. Zmarszczyła czoło, gdy usłyszała odgłos naciskanej klamki, a potem dostrzegła Gideona stojącego w progu swojego pokoju.

- Mówiłam, że wyjdę.

- Tak, mówiłaś, oczywiście. - Obrócił się na pięcie i ponownie zniknął w sypialni.

- Nie interesuje cię, gdzie byłam! - zawołała gniewnie, ruszając za nim. - Nie będziesz krzychał ani mnie wyzywał, choć widać wyraźnie, że jesteś zły. Musisz nauczyć się kłócić, Gideonie. - Postanowiła, że będzie osobą, która wtajemniczy go w arkana tej sztuki.

Zaraz jednak za progiem zatrzymała się. Ogarnął ją strach. Wielki, paralizujący strach. Na łóżku leżała otwarta walizka, a Gideon układał w niej ubrania.

Odchodził.

Przełknęła ślinę, czując, że kręci się jej w głowie. Przycisnęła rękę do piersi.

- Co robisz?

- Wydaje mi się to oczywiste. - Nie przerwał pakowania rzeczy ani na chwilę, nie spojrzawszy nawet w jej stronę.

- Oczywiście jest, że się pakujesz. Nie wiem tylko, dlaczego.

- Spróbuj pomyśleć przez chwilę - warknął nieuprzejmie, kierując się w stronę łazienki. - Może w ten sposób znajdziesz odpowiedź. Nawet jeśli nie, to drobne ćwiczenie nie powinno ci zaszkodzić.

Gniew dodał jej energii.

- Co to za odpowiedź? Chcę wiedzieć, do licha...

- To, co ty chcesz - odrzekł, odwracając się do niej gwałtownie - nie ma teraz żadnego znaczenia. - Chwycił mocno jej ramiona. - Czy wiesz, jak się czułem, kiedy wróciłem do domu i nie zastałem cię?

Patrzyła na niego zdumiona. Kim był ten mężczyzna, którego uchwyt sprawiał jej ból? Stał tak blisko, że widziała cień jego zarostu, czuła ciepło oddechu, widziała w jego oczach prymitywną męską siłę. Przez moment sądziła, że pocałuje ją. Widziała, jak Gideon toczy ze sobą wewnętrzną walkę, jak powoli odzyskuje panowanie nad swoimi emocjami. Odetchnął głęboko i rozluźnił uścisk. Odsunął się od Cassie i odwrócił się od niej plecami.

Otworzył szafkę.

- Gideonie? - udało się jej powiedzieć.

- Był wypadek na platformie w Port-au-Prince - wyjaśnił, nie patrząc na nią. - Jeden z robotników został ranny.

- Och, Boże! Co z nim się dzieje?

- Jest w szpitalu z niewielkim wstrząsem mózgu. Ale muszę go odwiedzić.

Skinęła głową.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym? - spytała cicho.

- Wiesz, o czym myślałam i dlaczego byłam zła. Czemu nie powiedziałaś, że stało się coś naprawdę poważnego?

- Dowiedziałem się o tym dopiero godzinę temu.

- Rozumiem. - Nie patrzył na nią. Jego głos brzmiał zimno i obco. - A więc przedtem po prostu unikałeś mnie. Tak jak robisz to od momentu, gdy podjąłeś tę fatalną decyzję ożenienia się ze mną. - Uniosła głowę, wiedząc, że nie może się teraz rozplakać.

- Nie. - Dopiero teraz zauważyła, że jego gniew wcale nie minął bez śladu. - Nie patrz na mnie w ten sposób, do diabła.

Nagle znów był przy niej. Tym razem nie próbował walczyć ze sobą. Nie myślał. Rzucił się na nią niczym głodzona od wielu dni bestia, którą drażniono obietnicą posiłku. Jego dłonie, gorące i spragnione, wędrowały po jej ciele.

Poddała się natychmiast. Jej umysł odpłynął w przestrzeń: ciemną, niezmierną, przerażającą. Zadrżała. Pieszczoty Gideona obudziły w niej namiętność, jakiej dotąd nie знаła. Kiedy wsunął nogę pomiędzy jej uda, jęknęła i przywarła do niego, pożądając tego, co tylko on mógł jej dać.

Kiedy uniosł głowę, czekała na nowe pocałunki, chciała, by zdarł z niej ubranie i zaniósł do łóżka albo posiadał tu i natychmiast. Słyszała jego ciężki oddech, lecz Gideon wciąż zwlekał. Powoli, z niechęcią i niedowierzaniem, otworzyła oczy.

Oczy Gideona płonęły. Upadłaby, gdyby nie przytrzymał jej w żelaznym uścisku.

- Nie chodź za mną. - Jego głos był niski i twardy.

- Nie kokietuj i nie kuś, bym spędzał z tobą czas. Nie gotuj moich ulubionych potraw, udając, że troszczysz się o mnie. Daruj sobie wszystkie te sztuczki.

Wysunął nogę pomiędzy jej uda. Nie była pewna, czy będzie mogła stać o własnych siłach. Powoli przesunął dłoń od jej bioder do talii, wciąż nie spuszczać z niej ostrego, uważnego spojrzenia. Teraz znów doskonale kontrolował każdy gest.

- Nie uśmiechaj się i nie udawaj - ciągnął ponuro. - Chyba że jesteś gotowa być prawdziwą żoną. - Chwycił jej rękę i przycisnął do swoich łędźwi. Kiedy próbowała się wyrwać, zacisnął tylko mocniej palce. - Czas dorosnąć, dziewczynko. Nie bawimy się w

dom. Nie oczekuj ode mnie kwiatów, kolacji przy świecach i kłamstw, tak jak ja nie chcę ich od ciebie. Ale wiesz, czego potrzebuję.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gideona nie było przez dwa dni. I dwie noce. Wieczorem wracał do hotelu i nie pił. Po raz pierwszy w życiu rozumiał, jak bardzo alkohol musiał pociągać jego ojca. Ale ponieważ byłoby to zbyt łatwe, nie mógł w nim szukać pociechy.

Poza wszystkim nie zasługiwał na jakąkolwiek pociechę.

Leżał pośrodku ogromnego łóżka dręczony wciąż tymi samymi myślami. Odgłosy włączonego telewizora nie mogły zagłuszyć dźwięków, które wciąż podsuwała bezlitosna pamięć. Jęk Cassie chrapliwy i nabrzmiaty pożądaniem. Migające na ekranie obrazy nie mogły zatrzeć wspomnienia jej oczu, bezbronnych i pełnych bólu, gdy zwracał się do niej słowami twardymi i obraźliwymi. Słowami mającymi odebrać wszelką nadzieję. Istniało z pewnością tysiąc sposobów na to, by w sposób delikatniejszy powiedzieć Cassie, że może zaoferować jej swoje pożądanie, wierność, zabezpieczenie finansowe i to wszystko. Niczego więcej w nim nie było. Dlatego nie chciał, by uśmiechała się do niego, gotowała obiady... żywiła nadzieję.

Oszukał i wciąż oszukiwał nie tylko ją, ale i siebie. To nieprawda, że odczuwał jedynie fizyczne pożądanie. Łatwo byłoby je zaspokoić. Jednak nie tylko jego zmysły domagały się spełnienia. Dlatego właśnie przeraził się i zaatakował Cassie brutalnymi słowami, na skutek których jej oczy wypełniły się łzami.

Kiedyś już doświadczył podobnego uczucia. Doświadczył i stłumił. Sądził, że na zawsze. Leżał na miękkiej narzucie wielkiego pustego łóżka w hotelowym pokoju i rozmyślał o pierwszym licealnym balu pewnej dziewczyny...

Niebo zachwycało wiosenną świeżością błękitu. Gideon leżał na plecach w niskiej trawie z boczka, które schodziło łagodnie w stronę wyschniętego koryta rzeki. Znajdował się kilkanaście metrów od granicy kempingowego osiedla, na którym w przyczepie mieszkała rodzina jego przyjaciela. Przez ostatnie trzy i pół roku przyjeżdżał tu tak często, że miał wrażenie, jakby była to jego własna rodzina. Na tyle bliska, że mógł, nie obrażając nikogo, poszukać chwili samotności.

Jeszcze jeden semestr, kilka tygodni i będzie miał to za sobą. Otrzyma dyplom. Z wyróżnieniem. Wyróżnienie było ważne dla ciotki, a Gideon czuł, że jest jej to winien. Nie uważał jednak, by musiał ze względu na nią poświęcać kolejne dwa lub trzy lata życia, jakich wymagałoby uzyskanie wyższego stopnia naukowego, o jakim marzyła dla niego Eleanor.

O wiele bardziej niż na karierze uniwersyteckiej zależało mu na zdobyciu majątku. Doskonale wiedział, co da się, a czego nie można kupić za pieniądze. Uznał, że może zupełnie nieźle urządzić swoje życie, opierając się tylko na rzeczach dostępnych za gotówkę.

Oczywiście, musiał polegać na własnych siłach. Eleanor Wilde miała pieniądze, ale on nie śmiałby prosić jej, by przeznaczyła ich część na realizację jego niepewnych planów. Dziesięć lat wcześniej, kiedy zamieszkał z nią po raz pierwszy, ciotka wydawała się mu bajecznie bogata, lecz teraz wiedział, że jej możliwości są ograniczone. Miała profesorską pensję i rozsądnie zainwestowaną część spadku, której drugą część jego ojciec przepił i przepuścił wiele lat wcześniej. Gideon rozumiał, że Eleanor Wilde

zawsze będzie kierowała się tym, co rozsądne i praktyczne. Wiedział, że to bezpieczna droga. Ale nie było równie bezpiecznego sposobu na to, by nagle z biednego stać się bardzo bogatym. Właśnie dlatego wybrał geofizykę.

Operacje naftowe stanowiły ogromne ryzyko. Gideon uznał jednak, że jeśli będzie postępował rozważnie i mądrze, a nie impulsywnie jak jego ojciec, jeśli będzie zawsze wiedział, o jaką stawkę toczy się gra, wtedy, wierzył, że mu się uda.

Usłyszał kroki. Ktoś zmierzał w jego kierunku. Wiedział, kto to, zanim usłyszał głos.

- Każda dziewczyna... Bal... Też mogłabym zdobyć na tę suknię pieniądze, ale usłyszałam: „Nie myśl nawet o pracy, kiedy twoje oceny z matematyki są takie słabe” - ciągnęła Cassie zabawnie piskliwym głosem, imitując matkę. Potem machnęła nogą i grudki ziemi spadły Gideonowi na twarz.

- Hej! - zawołał, strzepując piasek.

- Co tu robisz? - spytała z gniewem. Stała przed nim z rękami w kieszeniach dzinsów opinających szczupłe biodra. Jasne włosy miała związane w koński ogon. Jej zielone oczy wydawały się teraz ciemne niczym wzburzone morze.

Gideon uśmiechnął się. Nie umiał oprzeć się czarowi najmłodszej przedstawicielki rodziny O'Gradych, nawet gdy ta istota starała się być szczególnie nieznośna i niegrzeczna.

- Podstuchuję - odpowiedział z uśmiechem. - Zakradłem się tu i ukryłem, żeby móc podstuchać twój monolog.

- Cóż - stwierdziła, wciąż patrząc na niego srogo - to bardzo sprytnie. - Zeszła na brzeg i usiadła na trawie obok niego, oplatając ramionami kolana. - To nie jest sprawiedliwe i już...

Znów położył się na ziemi, podpierając głowę łokciem.

- Bardzo mało rzeczy jest...

- Tak, ale... Och, wiem, że ty nie przejmujesz się sukienkami i tego typu rzeczami.

Jesteś facetem. Ale mogłabym mieć wystarczająco dużo pieniędzy na suknię naprawdę ładną, gdyby mama zechciała tylko mnie wysłuchać. - Jedną ręką nieświadomie skubała źdźbła trawy. - Ryan pracuje, odkąd uczęszcza do szkoły średniej, i mama uważa, że to wspaniale. Powiedziałam jej - wyznała Cassie z powagą - że jest szowinistką.

Z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Naprawdę? I co odpowiedziała?

- Że to nie kwestia płci, tylko algebry. - Wyrzuciła w górę garść trawy i położyła się na plecach. - Nie znoszę algebry. - Westchnęła głęboko.

To westchnienie uniosło jej klatkę piersiową. Wzrok Gideona bezwiednie powędrował w stronę, gdzie pod cienkim materiałem bawełnianej koszulki rysowały się dwa niewielkie wzgórki. Cassie ma piersi? I to bardzo ładne piersi. Małe, lecz kształtne i nie nosi staniczka, bo widział wyraźnie uwypuklenia sutków...

Przerażony odwrócił od niej spojrzenie. Cassie nie miała prawa mieć piersi. Na co były jej piersi, prawdziwe piersi, na widok których jego oddech stawał się szybszy, a dzinsy zbyt ciasne?

Przesunął nogę, ukrywając przed nią, na ile mógł, swoją reakcję.

- Algebra ciągle sprawia ci kłopoty? - spytał.

- Mam troję - odparła. - Nie bardzo mocną troję, ale zdam. Mama mogłaby wreszcie uwierzyć, że wiem, co robię. Naprawdę potrzebuję pracy.

Jej słowa brzmiały tak załośnie, że popełnił błąd. Spojrzał na nią ponownie.

Leżała w trawie na plecach, nie patrząc w jego stronę. Jej delikatną skórę obsypywały piegi niczym ognisty pył. Rzęsy w świetle słońca wydawały się czerwonożłote, wargi w kolorze kwitnących tulipanów były lekko rozchylone.

Miał ochotę wsunąć język pomiędzy te wargi. Ssać je i kąsać delikatnie.

Raz jeszcze z przerażeniem odwrócił wzrok. Był o wiele lat starszy i o całe wieki bardziej doświadczony niż leżąca obok dziewczynka. Potrafi panować nad swoimi reakcjami i nie pozwolił, by kiedykolwiek odgadła, o czym myślał.

- Mówiłaś o zabawie. - Jego głos brzmiał nisko i chrapliwie, lecz na szczęście Cassie nie zwróciła na to uwagi.

Usiadła i zaczęła opowiadać o swoich problemach. To nie była zwykła dyskoteka, wyjaśniła. O, nie, mała Cassie chciała mieć odpowiednią suknię na bal. Była już umówiona z chłopakiem.

- Posłuchaj. - On także usiadł. - Jesteś chyba jeszcze za młoda na bale. I randki.

- Och, mówisz zupełnie jak Ryan. Skończyłam szesnaście lat, Gideonie. Mam prawo jazdy. Jestem wystarczająco dorosła, żeby chodzić na randki.

Wystarczająco dorosła, by... nie. Cassie wciąż była dzieckiem, a on nie pozwolił, by ta słodka fala pożądania, która wypełniła jego żyły, przestroniła mu prawdę.

- Mam trochę pieniędzy - oświadczył nagle. - Jeśli tak martwi cię ta suknia, mogę pomóc.

- Wiedział, że zdradził się w jakiś sposób. W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, myślał tylko o tym, by zapaść się pod ziemię.

- Wiem - zaczęła suchym, oficjalnym tonem - że starasz się być miły i że powinnam ci podziękować. Sądziłam jednak, Gideonie, że jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Jak mogłeś? Jak mogłeś pomyśleć, że przyszedłem... żebrać?

- Wstała. - Rzeczywiście moja mama nie może kupić dokładnie takiej sukienki, jaką bym chciała mieć, a ja być może nie powinnam rozpaczać z tego powodu, ale to nie znaczy, że chcę jałmużny!

- No cóż... - stwierdził inteligentnie, spoglądając na nią zmieszany.

Otrzeptywała bluzkę z trawy. Zmarszczyła brwi niczym surowa, rozgniewana nauczycielka.

- Przecież nie tarzasz się w pieniądzach - ciągnęła. - A nawet gdyby tak było, i tak nie mogłabym nic od ciebie przyjąć.

- Masz rację - zgodził się, oddychając ulgą. Cassie nie domyślała się niczego. - Po prostu nie pomyślałem, że cię urażę.

- Hm. Zabrzmiało to tak, jakbyś przyznał się do błędu.

- Uśmiechnęła się nagle. - Chyba ci wybaczę. Idziesz?

- Odwróciła się i ruszyła do przodu. Na szczycie skarpy zatrzymała się, by otrzepać dzinsy.

Jej kształtna pupa zakotyssała się leciutko. Gideon z trudem zduśił jęk, opadając z powrotem na ziemię.

- Nie - powiedział, starając się, by zabrzmiało to naturalnie. - Zostanę tu jeszcze przez chwilę.

Gideon skrzywił się, kiedy śmiech dobiegający z telewizora znów wypełnił pokój. To zabawne, że wspomnienie tamtego dnia tak długo pozostało w jego pamięci ostre i niezatarte, choć było wiele innych okazji, kiedy jego samokontrola wystawiana była na ciężkie próby. Trwało dwa lata, zanim wreszcie zdołał ujarzmić swoje ciało na tyle, by

reagować normalnie lub prawie normalnie... na obecność Cassie. Szczególnie jednak pamiętał tamten wiosenny dzień, kiedy po raz pierwszy dostrzegł w Cassie kobietę. Teraz była jego żoną. Gotową, a nawet chętną dzielić z nim łożę, niezależnie od tego, czy wręcz wbrew temu, co mówiła. I podobnie jak szesnastolatka Cassie nie pozwoliła, by kupił jej balową suknię, tak samo Cassie w wieku lat dwudziestu ośmiu nie wyszłaby za męża dla pieniędzy.

Gideon spoglądał w sufit, myśląc o czystym, niewiarygodnie błękitnym niebie i czystej, niewiarygodnie uczciwej dziewczynie i... kobiecie. Cassie nie poślubiła go ze względu na bezpieczeństwo finansowe, które mógł jej zapewnić, podczas gdy ona zajęłaby się sztuką. Kiedy, upokorzony, pragnąc innej kobiety, poprosił Cassie o rękę, zgodziła się, oczekując czegoś innego, niż mógł jej ofiarować.

Pieniądze i pożądanie, które w nocy nie pozwalało mu zasnąć. Ale nie miał dla niej miłości, której pragnęła i na którą zasługiwała. Nie mógł też dać jej dzieci, których Cassie być może chciała. Lecz nie będzie dłużej czekać. Zbyt długo jej pragnął. Tym razem nie cofnie się.

Samolot Gideona wylądował o dziewiątej czterdzieści następnego ranka. Z lotniska udał się prosto do biura. Kiedy tam jednak dotarł po czterdziestu minutach, pani Pittinger zamiast pozdrowienia przywitała go wymówką.

- No, czas najwyższy, żeby się pan pojawił. - Zaciśnęła karminowe usta w wąską linijkę i patrzyła na niego spod groźnie ściągniętych brwi. - Spodziewałam się pana dziesięć minut temu.

- Był duży ruch - odparł zdziwiony tym atakiem. Gdyby w biurze były jakieś problemy, pani Pittinger dawno już poinformowałaby go o tym. - Poproś Cassie, żeby przyszła do mnie.

- Nie ma jej. Poraził go strach.

- Co? Gdzie... czy jest chora?

- Nic mi o tym nie wiadomo. A jeśli - dodała z przyganą - musisz pytać mnie, czy twoja słodka, młoda żona jest chora, nie jesteś chyba najlepszym mężem.

Pani Pittinger broniła Cassie? Nazywała ją słodką? Którego z długiej listy asystentów, jakich zatrudnił dla tej harpii, będącej jego sekretarką, kiedykolwiek wzięła ona w obronę?

I gdzie podziewała się Cassie? Nie będę martwił się o nią, przekonywał samego siebie.

To, że nie wiedział, gdzie Cassie przebywa akurat w tym momencie, nie oznaczało jeszcze, że stało się coś złego. Cassie była impulsywna, ale nie zostawiłaby go tylko dlatego, że się pokłócili. Nie odeszłaby bez jednego słowa.

Przeczesał ręką włosy, nieświadomie kreując na swojej głowie bliźniaczą wersję nastroszonej fryzury pani Pittinger.

- Będę u siebie - mruknął. - Jeśli moja żona zadzwoni. .. połącz ją od razu.

Najprawdopodobniej była teraz w domu. Jeśli nie, mógł zadzwonić do Ryana i spytać, czy nie wie, co się dzieje z jego siostrą. Skrzywił się.

Zmiana w wyrazie twarzy pani Pittinger zasygnalizowała mu, że ktoś wszedł do biura.

To była Cassie. W spłówiatych, opiętych dzinsach, dzinsowej bluzie i koszulce z kolorowym napisem. Z ramienia zwisała jej zabawna pikowana torba.

Uśmiechała się do niego.

Najpierw odczuł ulgę. A zaraz potem złość.

Cassie szła w jego stronę, nucąc coś pod nosem. Pachniała kwiatami i deszczem.

Opanowanie było teraz dla niego najważniejsze.

- Gdzie, u diabła, się podziewałaś?

Mały głuptas przechylił głowę, jakby nie zdawał sobie sprawy z jego gniewu. Lub nie przejmował się nim.

- Czy tęskniłeś za mną?

- Powinnaś rozpocząć pracę o ósmej. Jest już po dziesiątej. Nikogo nie poinformowałaś, co się z tobą dzieje. - Starał się mówić spokojnie, starannie dobierając słowa.

- Piekłam kurczaka.

- Piekłaś... Co robisz?

Jeszcze bardziej zbliżyła się do niego i przesunęła dłoń po jego torsie. Jej oczy śmiały się, kiedy palcami wędrowała w górę jego krawata.

- Hej, marynarzu - zagadnęła niskim, gardłowym głosem, posyłając mu bezwstydne spojrzenie. - Chcesz zabawić się ze mną?

Jej zachowanie nie bawiło go. Bynajmniej!

- Czy mogłabyś mi wyjawić, co chcesz zrobić?

- Popełnić przestępstwo. - Uniosła do góry również drugą dłoń i wykorzystując zaskoczenie Gideona, rozluźniła jego krawat.

Czyżby zamierzała rozebrać go w biurze na oczach pani Pittinger?

- Lepiej powiedz mi, co planujesz - Gideon zakrył jej dwie dłonie swoją ręką - zanim ja wyjawię ci swoje zamiary.

Z zadowoleniem patrzył, jak jej oczy nabierają intensywnej, granatowej barwy.

- Porywam cię. - Jej głos wydawał się lekko zdyszany. Przez chwilę trwała bez ruchu, nie odrywając spojrzenia od jego oczu. Potem szybkim ruchem pozbawiła go krawata i cofnęła się, kokietując go uśmiechem.

- Zabieram cię ze sobą. Nie próbuj stawiać oporu, bo będę musiała użyć siły.

Oczywiście, nigdzie się nie wybierał. Nie zamierzał dać się zaciągnąć nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co, zwłaszcza że był niemal w stu procentach pewien, że to „coś” nie jest tym, czego domagało się jego ciało.

Pięnaście minut później Gideon siedział w dziesięcioletnim fordzie Cassie, przyciskając do podłogi nogę w miejscu, gdzie podświadomie miał nadzieję znaleźć hamulce. Na tylnym siedzeniu leżał koc i piknikowy kosz, który uderzał o drzwi, gdy Cassie zbyt szarżowała na zakrętach.

Szybko zorientował się, że Cassie w podobnym stylu prowadzi samochód, jak żyje.

- Intuicja jest przydatna - zauważył z rezygnacją, podczas gdy Cassie wymijała kolejne samochody, lawirując między dwoma zatłoczonymi pasami ruchu - ale to nie najlepsza formuła na jazdę po mieście.

Uśmiechnęła się, wykonując kolejny nagły skręt.

- Nie jesteś przyzwyczajony podróżować w roli pasażera, prawda? Ale to nie byłoby porwanie, gdybym pozwoliła ci kierować moim autem.

Chciał wyjaśnić, że to nie jest żadne porwanie i że sam zdecydował się dotrzymać jej towarzystwa, nie mógł sobie jednak tylko przypomnieć, kiedy dokładnie podjął tę decyzję. Postanowił zapewnić Cassie wszystko, czego pragnęła.

Jeśli więc potrzebowała, by był świadkiem, jak bawi się w kierowcę rajdowego na ulicach śródmieścia Dallas...

- Powinienem być wziąć ze sobą telefon - mruknął. - Do diabła, nie mogę uwierzyć, że zgodziłem się zostawić komórkę.

- Rozluźnij się. - Poklepała go po udzie. - Emma zajmie się wszystkim. Poradziła ci przecież, żebyś lepiej nie stawiał mi oporu.

Emma? Kto to jest? Zapomniał niemal, że jego sekretarka ma też imię. Prawdę mówiąc, nie słyszał nigdy, by ktokolwiek zwracał się do niej po imieniu.

- Jeśli mówisz o mojej zdradzieckiej sekretarce, chciałbym zwrócić uwagę, że to ja rządę firmą, nie ona.

- Oczywiście, że ty - zgodziła się pojednawczo Cassie. Popatrzył na nią surowo.

- Czy przynajmniej dowiem się, dokąd jedziemy?

- Nie. My, porywacze, lubimy zaskakiwać nasze ofiary. Pewnie oczekiwała, że będzie protestował; Ale nie miał na to ochoty. Z wiklinowego kosza unosiła się woń pieczonego kurczaka. Domyślał się, że Cassie postanowiła urządzać im coś w rodzaju pikniku, choć był listopad i nie więcej niż kilka stopni powyżej zera. Gotów był to znieść, jeśli tego potrzebowała. W Dallas było wiele parków, powinni więc niedługo dotrzeć do tego, który wybrała.

Gideon nie zauważył nawet, kiedy zrelaksował się i przyłożył głowę do oparcia fotela. Cassie nie opuściła go. Z jakiegoś nieodgadzonego powodu postanowiła przebaczyć mu, choć nie zrobił nic, by na to zasłużyć. Zastanowi się nad tym później. Później...

Teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Zdziwiająco dobrze było siedzieć obok Cassie i bez słowa obserwować, jak manewruje swoim rozklekotanym pojazdem. Nie była złym kierowcą. Może trochę gwałtownym, lecz doskonale panowała nad sytuacją na drodze. Wiedziała, jaki jest cel podróży i jak zamierza tam dotrzeć. Choć on pewnie inaczej pokonałby tę drogę.

Zamknął oczy. W powietrzu wyczuwał zapach perfum Cassie i zapach jej samej.

Odetchnął głęboko, zanurzając się w tej woni... i swoich coraz mniej logicznych rozważaniach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gideon przespał całe siedemdziesiąt minut, których potrzebowała Cassie, by dotrzeć do celu. Obudził się, gdy zjechali z autostrady.

- Hej - zawołała. - Zgłodniałeś?

- Gdzie jesteśmy? - spytał ostro.

- Aha - stwierdziła Cassie, włączając kierunkowskaz - drzemka cię odświeżyła. Znów jesteś gotów wydawać rozkazy.

- Cassie...

- Jesteśmy w Absdale lub raczej tuż przed. Bądź cierpliwy i poczekaj jeszcze kilka minut, dobrze?

- Nie byłem cierpliwy. Spałem.

- Wychodzi na jedno. O, zobacz, już widać je! - Tam, gdzie droga schodziła w dół obrosniętego drzewami wzgórza, rozciągał się krajobraz typowy dla małego teksaskiego miasteczka. Na jego przedmieściach, tuż przy drodze, którą podróżowali, odbywał się festyn, o którym przeczytała dwa dni temu w gazecie.

- O, nie - jęknął. - To niemożliwe. Nie chcesz chyba powiedzieć, że wyciągnęłaś mnie z biura i wlokłaś tym gratem przez dwie godziny tylko po to, żebyśmy mogli wziąć udział w jarmarcznej zabawie?

- Nie jechaliśmy przez dwie godziny.

- Cassie, jeśli miałaś ochotę pokręcić się na karuzeli lub pociągają cię inne tego typu atrakcje, z przyjemnością zabrałbym cię do Six Flags.

- W Six Flags jest wesoło, ale to nie to samo - oświadczyła stanowczo. - To nie jest zwykły park rozrywki. To prawdziwy, tradycyjny wiejski jarmark. Będą tam stoiska z miejscowymi specjałami, wystawy zwierząt hodowlanych, karuzele i żelkowe cukierki. Gdzie indziej mógłbyś znaleźć to wszystko? - Kiedy tylko przeczytała maleńkie ogłoszenie, wiedziała od razu, że musi przywieźć tu Gideona.

- Chodzi ci o świnię? - spytał sucho.

- Też. Ten jarmark... jest trochę jak Las Vegas w miniaturze. W wersji z konfetti i prażoną kukurydzą. Nie zależy mi na świecach i kłamstwach bardziej niż tobie - ciągnęła spokojnie, choć jej serce trzepotało się w piersi niczym spłoszony ptak. - Ale lubię cukrową watę i jazdę diabelskim młynem.

Gideon nie mówił nic, przyglądając się jej z niedowierzaniem. Cassie zatrzymała samochód na poboczu piaszczystej drogi. Stąd od kolorowych stoisk dzieliło ich zaledwie kilka kroków.

- Zobaczysz, że wygram coś dla ciebie na strzelnicy - obiecała. - Idziemy czy wolisz najpierw zjeść lunch?

Jedzenie odłożyli na później, wybierając na początek konkursy hodowców. Cassie zachwyciła się wyjątkowo starannie wypielęgnowanym okazem czarnej owcy i nawiązała rozmowę z jej dziesięcioletnim właścicielem. Tuż za stanowiskami dla bydła znaleźli namiot ze wspomnianymi przez Cassie zelkami, ogromną pomarańczową dynią i innymi specjałami miejscowych ogrodów i kuchni. Trafili tam akurat na moment przyznania nagród za najbardziej udane wypieki cukiernicze. Zwyciężczynią konkursu okazała się starsza pani o niezwykle sympatycznej twarzy.

Powietrze było chłodne, lecz rześkie, a zgromadzeni ludzie, choć nie przybyli zbyt tłumnie, zdecydowanie potrafili się bawić. Cassie wygrała dla Gideona pluszową zabawkę na strzelnicy. Nalegała, żeby sam wybrał sobie maskotkę. Po chwili stał naprzeciw niej, trzymając w rękach pluszowego niedźwiadka z kraciastą kokardą na szyi.

- Ale wybrałeś - zaśmiała się Cassie. - Nie wolałeś różowego boa? Chodź - pociągnęła go za rękaw. - Muszę się czegoś napić. Chcę pojeździć na karuzeli, ale najpierw powinnam wziąć lekarstwo.

Musiał wyminąć kobietę z wózkiem i dwoma malcami, by się z nią zrównać.

- Jakie lekarstwo? Nie jesteś chyba chora?

- Nie, i nie chcę się rozchorować. - Cassie stanęła przed kasą. W powietrzu unosił się zapach karmelu, cukrowej waty i prażonej kukurydzy. - Czasami cierpię na chorobę lokomocyjną - wyjaśniła. - O, cukrowa wata. Na nią też mam ochotę.

- Cierpisz na chorobę lokomocyjną, lecz mimo to zamierzasz wsiąść na karuzelę po zjedzeniu cukrowej waty? - upewnił się Gideon, sięgając po portfel. - Domyślam się, że chcesz pojeździć także na wściekłym rumaku?

Obróciła ku niemu rozjaśnioną twarz.

- Koniecznie. I na pająku, i na tej karuzeli z wirującymi krzeselkami. Na koniec diabelski młyn. Właśnie dlatego najpierw chcę wziąć pastylkę, żeby się dobrze bawić, nie walcząc z mdłościami.

- Zachowujesz się bardzo rozsądnie - stwierdził sucho.

- Weź pastylkę. A nawet dwie.

- Jedna wystarczy. - Oddała Gideonowi watę na patyku, by poszukać w torebce lekarstwa. Kiedy je już połknęła, skubnęła palcami kawałek śnieżnej waty i przysunęła ją do ust Gideona.

- Czy dobrze się bawisz? - spytała z czułością. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

- Tak - odparł, zaskakując samego siebie.

- To świetnie. - Musnęła kłębkiem białego łakocia jego wargi. - Otwórz buzię. Zrobił, co mu kazała. Słodycz natychmiast rozpuściła się w jego ustach, przywołując wspomnienia.

- Przez całe lato podróżowałem kiedyś z wesołym miasteczkiem. Patrzyła na niego zdziwiona.

- Naprawdę?

- Tak. Mój ojciec obsługiwał jedną z karuzel. - Gideon potrząsnął głową, zaskoczony zarówno tymi wspomnieniami, jak i własną chęcią, by o nich mówić. Ruszył przed siebie, odtwarzając zapamiętane sceny. - Mieszkaliśmy w niewielkiej przyczepie z pewnym grubasem o imieniu Jim Bob Haggerman. Zachichotał.

- Jim Bob lubił przesiadywać w samej bieliźnie, ale kiedy usiadł, nie widać było szortów, a jedynie sam brzuch. Całe połacie i hektary brzucha. Twierdził, że człowiek o jego tuszy nie potrzebuje ubrań, by było mu ciepło. Mówił, że nakłada je, jedynie wychodząc na zewnątrz, i to tylko dlatego, by nie wejść w konflikt z prawem.

- Zdaje się, że był dość oryginalnym człowiekiem? Gideon skinął głową, pograżony we wspomnieniach.

- Jarmarczne zjazdy pełne są oryginałów.

- Czy było ci przykro, kiedy musiałeś się z nimi rozstać pod koniec lata?

- Nie bardzo. Zaczynała się nauka w szkole, a ja byłem dziwnym dzieckiem. Lubilem szkołę. Można... było na niej polegać. - Kiedy uczył się w szkole, odpowiadał tylko za siebie. Cieszył się tą wolnością, choć w pewnym sensie czuł się też winny, że pragnie czasu wolnego od troski o Charliego. To poczucie winy jeszcze się wzmogło później. Po wypadku. - Nawet w nowej szkole, a zmieniałem je dość często, szybko można było się zorientować, jakie są reguły.

- Zaskoczyłeś mnie, mówiąc, że twój ojciec pracował w wesołym miasteczku - powiedziała Cassie z wahaniem. - Wiem, że w czasie studiów nie miałeś żadnych pieniędzy, ale sądziłam, że wynikało to z poglądów twojej ciotki. Myślałam, że chciała w ten sposób nauczyć cię samodzielności. Miałam wrażenie, że twoja rodzina była kiedyś bogata.

- „Była” to właściwe słowo. - Znów powrócił do niego znajomy smak gorzkości. - Odziedziczyliśmy trochę pieniędzy po moim dziadku. Zanim skończyłem siedem lat i zmarła moja mama, zdążyliśmy się już pożegnać zarówno z pieniędzmi, jak i z dobrym imieniem rodziny. Mój ojciec prowadził inwestycje w przemyśle wiertniczym, dopóki jego klienci nie zorientowali się, że ich zysk jest równie mało prawdopodobny, jak przy grze w

pokera znaczonymi kartami. Jego wspólnicy mogli nie zwrócić uwagi na morale mojego ojca, gdyż sami nie byli lepsi, nikt jednak nie chciał prowadzić interesów z oszustem, kiedy ten został nagle również nałogowym alkoholikiem.

Szli obok urządzeń przeznaczonych dla dzieci. Po ich lewej stronie wirowały samoloty, w dwóch maszynach unosząc pasażerów o zdecydowanie niezbyt pewnych siebie minach. Po drugiej stronie na karuzeli siedziała mała dziewczynka z warkoczykami. Ściskając mocno słupek, do którego przymocowany był jej kolorowy rumak, wołała do mamy:

- Patrz na mnie! Widzisz?!

Gideon przypomniał sobie inne dziecko, inną karuzelę. Ileż razy tamtego lata słyszał te słowa? Patrz na mnie, wołał Charlie. Widzisz?!

Okrzyki dziewczynki były niczym magiczne zaklęcie, które przeniosło go w krainę przeszłości. Znalazł się tam z pluszowym misiem w ręku i dłońią Cassie ufnie spoczywającą w jego dłoni.

- Facet, który obsługiwał karuzelę, lubił zaglądać do kieliszka równie często jak mój ojciec i wykazywał przy tym większą determinację. Wiele razy zastępowałem go przy karuzeli, kiedy Simon stwierdzał nagle, że musi wychylić kilka głębszych.

- Ale miałeś wtedy tylko dziewięć lat! - z przerażeniem zauważyła Cassie.

Gideon uśmiechnął się.

- Obsługa karuzeli nie jest zbyt skomplikowana. Naciskasz guzik i kręci się. Naciskasz znowu, a ona staje.

- Lubieś to robić.

- Tak. W wesołym miasteczku było fajnie. - Jego uśmiech zniknął. - Choć ojciec nie podjąłby się pewnie tego zajęcia, gdyby wcześniej nie zaplombowano nam mieszkania za niepłacenie czynszu. Nie żeby było to jakieś luksusowe mieszkanie: karaluchy wygrały bitwę o terytorium na długo, zanim my się tam wprowadziliśmy. Ale zostało w tym domu kilka rzeczy, których strata bardzo mnie zabolowała. - Na przykład zdjęcia matki i Charliego. Do tej pory, choć minęło dwadzieścia siedem lat, nie mógł wybaczyć ojcu, że przez niego przepadły tamte fotografie.

Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego zapragnął nagle podzielić się z Cassie tymi wspomnieniami. Wstrząśnięta słuchała opowiadania o małym chłopcu, który wiele razy siedział sam w zimnym mieszkaniu bez światła, telefonu i jedzenia, bo jego ojciec brał udział w wielodniowych pijatykach. Gideon pamiętał, jak mroźno bywało zimą w nie ogrzewanym mieszkaniu i jak musiał obywać się bez bieżącej wody, kiedy nawet ta została odcięta.

Nie zawsze żyli w nędzy. Czasami mieszkali w zupełnie przyzwoitych domach, a niekiedy wręcz otaczał ich przepych. Timothy Wilde był czarującym mężczyzną i całe życie pracował nad doskonaleniem tego daru. Był utalentowanym oszustem.

Może łatwiej jednak byłoby znieść prawdziwą biedę niż te ciągłe odmiany losu.

- Jednej tylko rzeczy nie mogłem nigdy zrozumieć. Dlaczego mimo wszystko zatrzymał mnie przy sobie. Nie - powiedział szybko, zanim Cassie zdążyła się odezwać.

- Nie mów tego. Nie mów, że mimo swoich wad, musiał mnie kochać. Dla niego nie liczyło się nic prócz butelki i pieniędzy, które tracił na alkohol.

Cassie milczała. Chciała coś powiedzieć, ale bała się, że jeśli otworzy usta, wybuchnie płaczem, a Gideon z pewnością nie życzyłby sobie tego. Objęła go bez słowa i oparła głowę na jego ramieniu.

Po chwili on także ją objął.

- Ona naprawdę świetnie się bawi.

Cassie nie od razu zrozumiała, że Gideon mówi o siedzącej na karuzeli dziewczynce. Mała odważyła się oderwać jedną rączkę od słupka i jak szalona machała nią do mamy. Cassie szybko się zorientowała, że Gideon czuje się zazenowany po swoich zwierzeniach.

- Czy wiesz, że kiedyś spadłam z karuzeli? - zaczęła, chcąc oderwać go od wspomnień.

- Daj spokój, Cassie, to niemożliwe.

- Naprawdę. Kilka tygodni wcześniej mama zabrała nas z Ryanem na rodeo i to mnie zainspirowało. Na siedząco dość dobrze szła mi jazda bez trzymania, ale następny etap okazał się znacznie ryzykowniejszy. Poślizgnęłam się, jeszcze zanim stanęłam na końskim grzbiecie, i upadłam.

- Mogłaś się zabić - stwierdził posępnie. - Na Boga, Cassie, nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby choć chwilę zastanowić się nad tym, co chcesz zrobić? Rzucasz się w przepaść i czekasz, co się stanie: czy grawitacja to prawda, czy tylko plotka.

Roześmiała się, zadowolona z jego irytacji. Nie mógł jednocześnie rozpamiętywać bolesnej przeszłości i złościć się na nią.

- Chodź. - Pociągnęła za rękaw wysokiego, nachmurzonego mężczyznę z pluszowym miśkiem pod pachą.

O trzeciej po południu następnego dnia Gideon siedział za biurkiem w swoim gabinecie, lecz nie potrafił skoncentrować uwagi na pracy. Wciąż widział przed sobą rozjaśnione oczy Cassie, kiedy ofiarował jej wygranego przez siebie ogromnego czerwonego aligatora.

Jednym pojedynczym skrobnięciem w drzwi pani Pittinger w swój zwykły sposób zasygnalizowała zamiar wejścia do pokoju.

- Jest tutaj pana ciotka - oznajmiła, otwierając drzwi. Gideon odczuł niepokój. To nie było w stylu Eleanor Wilde, by zjawiać się bez uprzedzenia. Sprawa, która sprowadziła ją dzisiaj, musiała być pilna, zwłaszcza że następnego dnia mieli spotkać się na przyjęciu.

- Poproś, żeby weszła.

Eleanor Wilde zjawiła się z przewieszonym przez ramię płaszczem, w jednym ręku trzymając kopertową torebkę, zaś w drugim teczkę z dokumentami.

- Dzień dobry, Gideonie. Jak się miewasz?

Nie wyglądała na chorą czy zakłopotaną. Gideon jednak nie ufał pozorom. Wiedział, że jego ciotka nawet Kubę Rozpruwacza powitałaby uśmiechem i pytaniem o zdrowie.

- Dobrze, ciociu. Czy coś się stało?

- Och, naprawdę, mógłbyś najpierw zaproponować, bym usiadła. - Skierowała się do stojących przy oknie foteli. - Rozumiem, że moja niespodziewana wizyta mogła cię zaniepokoić, ale chciałam porozmawiać. Nie wydarzyła się żadna tragedia, ale jest pewien problem.

- Czy coś z twoim zdrowiem jest nie w porządku?

- Wielkie nieba, nie. Ale muszę przyznać, że cieszy mnie twoja troska. Nie, Gideonie, nie przyszłam tu w swojej sprawie.

Gideon milczał, zaś Eleanor otworzyła skórzany folder.

- To raport przygotowany przez Appleton i Paine. To agencja detektywistyczna polecona mi przez...

- Dobry Boże. - Podniósł się gwałtownie. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Uspokój się, Gideonie. Tupanie nogami i przekleństwa nic nie pomogą. Zanim zaczniesz protestować, prosiłabym, byś najpierw mnie wystłuchał.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że zleciłaś jakimś łajdakom, by śledzili Cassie, nie chcę o tym słuchać.

- Appleton i Paine są zbyt dobrymi fachowcami i nie wolno nazywać ich łajdakami - stwierdziła sucho. Wstała i wyciągnęła w jego stronę granatową teczkę. Kiedy Gideon nie uczynił żadnego gestu, by wziąć ją od niej, Eleanor westchnęła i podeszła do biurka.

- Udawanie strusia nie jest w twoim stylu, ale rozumiem, że może razić cię pomysł grzebania się w przeszłości Cassandry. Naprawdę jednak, czy może jej to cokolwiek zaszkodzić, skoro nie ma nic do ukrycia?

- To kwestia zaufania. - Gideon przeczesał ręką włosy. - Wiem, że nie jesteś zadowolona z powodu tego małżeństwa, ale sądziłem, że to ze względu na impulsywny charakter mojej decyzji. Nie podejrzewałem, że żywisz aż taką niechęć w stosunku do Cassie.

- Nie żywię niechęci do Cassandry - zaprotestowała ostro Eleanor. - Owszem, niektóre jej poczynania budzą mój niesmak, lecz nie potępiam jej całkowicie. Nie próbuję też udawać, że jestem do końca obiektywna. Ostatecznie ona przecież wciągnęła cię w to małżeństwo, gdy byłeś pijany.

- Małżeństwo było moim pomysłem, nie jej. Już to mówiłem. - Odczuwał jednocześnie złość i żal. Oprócz ciotki Eleanor nie miał nikogo bliskiego.

- Oczywiście, jesteś przekonany, że pomysł wyszedł od ciebie. Ona ma władzę nad... twoimi hormonami. Dla innej kobiety jest to jasne, choć rozumiem, że ty możesz tego nie dostrzegać.

- Zawsze uczyłaś mnie, że tylko stabi składają winę za swoje czyny na innych ludzi, biologię czy okoliczności. Dlaczego chcesz uczynić Cassie odpowiedzialną za mój wybór?

- Twój udział w doprowadzeniu do tego absurdalnego małżeństwa nie zdejmuje odpowiedzialności z niej. - Eleanor wróciła na fotel. Prężne, płynne ruchy kontrastowały z jej wiekiem, delikatną posturą i wiotkością skóry. - Przeczytaj ten raport, Gideonie.

- Znam Cassie od wielu lat. Te obmierzłe świstki nie powiedzą mi nic, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Tak? - Eleanor Wilde uniosła w górę brwi. - A więc wiesz o wszystkich mężczyznach, z którymi łączyły ją bliższe związki? - W jej beznamiętnym dotąd tonie zabrzmiała nuta drwiny. Stała przy drzwiach. - Moje gratulacje. Niewielu mężów jest tak dobrze poinformowanych lub też tak tolerancyjnych. Oczywiście, nie podejrzewam jej o to, że spała ze wszystkimi mężczyznami, z którymi pozostawała w bardziej zażyłych kontaktach. To byłoby lekką przesadą, nieprawdaż? Nawet dla osoby tak impulsywnej i nieprzewidywalnej jak twoja Cassandra. - Już z ręką na klamce Eleanor obróciła się, by zadać ostateczny cios. - A było tam bardzo wielu mężczyzn, Gideonie.

Gideon był wściekły. Po raz kolejny spoglądał na zegarek, by sprawdzić, która jest godzina. Co, u licha, zajmuje jej tyle czasu? Cassie nie była jedną z tych kobiet, które godzinami mizdrzyły się przed lustrem. Wyszukiwanie się do pracy każdego dnia zajmowało jej tyle samo czasu co jemu.

Jego złość nie miała, oczywiście, żadnego związku z perspektywą spóźnienia się na przyjęcie Barbary Johnson. Nie miał ochoty oglądać ciotki, zwłaszcza po zapoznaniu się z treścią jej prezentu, który ciążył mu teraz niczym posiłek połknięty, lecz nie strawiony. To nie ma znaczenia, przekonywał sam siebie po raz setny. To, z iloma mężczyznami Cassie umawiała się na randki, a nawet to, z iloma z nich spała, nie miało żadnego znaczenia dla ich obecnego związku. Wiedział o tym, do licha.

Gideon podszedł do barku, mrużąc pod nosem przekleństwa pod adresem przyjęć i kobiet w ogóle.

Ryan żartował często na temat tego, jak kapryśna i niestała jest jego siostra. Zmieniała mężczyzn niczym pszczoła poszukująca wciąż nowych kwiatów. Teraz znał ich imiona. Znał imiona wszystkich mężczyzn, z którymi Cassie umawiała się na randki w przeciągu ostatnich kilku lat. Widział zdjęcia niektórych z nich. Wiedział, czym się zajmują. Raport zawierał informacje o tym, kiedy w przybliżeniu Cassie spotykała się z nimi i czy utrzymywali z nią jeszcze jakieś kontakty. Appleton i Paine nie potrafili jedynie ustalić, którzy z tych mężczyzn rzeczywiście byli jej kochankami.

Raport wiele uwagi poświęcał przyjacielowi Cassie o imieniu Mo. Temu, który pomagał jej przy przeprowadzce. W odróżnieniu od innych mężczyzn, z którymi się umawiała, ona i Mo pozostawali w bliskim związku od dawna. Od wielu lat.

To nie ma żadnego znaczenia, pomyślał Gideon, sięgając po whisky. Potem usłyszał swoje imię i obrócił się.

Spowijał ją czerwony jedwab. Zbyt mało jedwabiu.

Stopy o pomalowanych na czerwono paznokciach ostaniały sandały o cienkich paskach. Potem jego wzrok powędrował po aksamitnej skórze nogi wysoko w górę, gdzie resztę smukłej sylwetki Cassie okrywał skąpy kawałek udrapowanej na ramieniu tkaniny. Jej drugie ramię, jasne i okryte delikatnymi piegami, pozostawało nagie. Jej twarz... och, wyglądała tak inaczej. Oczy o ciemnych rzęsach i czerwone usta o wyraźnie zaznaczonym szlachetnym kształcie nadały jej twarzy zupełnie nowy, egzotyczny wyraz. Zaskoczony, przyglądał się stojącej przed nim pięknej kobiecie, kiedy nagle powróciło do niego wspomnienie sprzed lat.

Było to niedługo po jego dwudziestych szóstych urodzinach. Drugiego stycznia tamtego roku wciąż jeszcze świętował w sposób dość typowy dla kawalerów: z atrakcyjną i chętną dziewczyną. Dawno już zapomniał, jak miała na imię, pamiętał jedynie, że to ona sama rozpięła swój stanik. Nic nie miał przeciw temu.

Wtedy odezwał się dzwonek u drzwi.

Nie miał ochoty otwierać. Kto mógł odwiedzać go o tej porze w dniu wolnym od pracy? Ale demon, który patronował jego interesom, nie pozwolił mu długo ignorować tego sygnału. Z ociąganiem wstał z kanapy, zostawiając na wpół obnażoną kobietę.

Tamtego dnia Cassie również wybrała czerwień. Bardzo niewiele czerwieni.

- Do diabła - zawołał gniewnie, z impetem stawiając szklankę na barku. - Nie pójdziesz w tym stroju.

Uniosła w górę głowę.

- Co ci się nie podoba? - chciała wiedzieć.

- Nic - warknął. - Absolutnie nic. Ta suknia jest piękna. Ty wyglądasz w niej pięknie.

Ale... - wykonał dłonią nieokreślony gest - eksponuje zbyt wiele twoich wdzięków.

Spojrzała na swoją suknię i wysunęła do przodu nogę. Fałdy tkaniny rozunęły się, ukazując szczupłe, zgrabne udo i Gideon zauważył, że Cassie nie ma rajstop. Patrzył na nagą skórę...

- Nie - stwierdziła z namysłem. - Nie sędzę, by było widać za dużo. Tak właśnie miało być. - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Do diabła - zaklął z rezygnacją. - Chodźmy. Pachniała perfumami, choć na co dzień nigdy ich nie używała. Czuł się niezręcznie, jakby towarzyszył nieznajomej, tej samej, która osiem lat temu pojawiła się w jego mieszkaniu w podobnie skąpej czerwonej sukni, kiedy on był już rozbudzony. Dotąd dostrzegał w niej jedynie małą dziewczynkę.

Tamtego wieczoru miał ochotę posiąść ją natychmiast na podłodze w progu mieszkania, podczas gdy na kanapie czekała zapomniana przez niego kobieta. Wtedy, przed laty, niewiele brakowało, by stracił panowanie. Od tamtej pory nauczył się kontrolować swoje zmysły i emocje. A przynajmniej tak sądził jeszcze do niedawna.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przyjęcie odbywało się w nowo wybudowanym i świeżo urządzonym domu. Unoszący się w powietrzu ledwie wyczuwalny zapach stajni przypominał Cassie, co Emma Pittinger powiedziała jej o Barbarze Johnson: pochodzi z zamożnej rodziny z tradycjami i lubi mieć wokół siebie młodych mężczyzn i konie.

Ściany domu pomalowane były na biało, podłogi wyłożono lśniącym marmurem, zaś meble przypominały bardziej rzeźby niż przedmioty użytkowe. Gdzieś przyciągał uwagę zawieszony na białym tle obraz czy inne dzieło sztuki.

Cassie zdawała sobie sprawę, że jest to wnętrze eleganckie, a nawet efektowne. Tylko jej po prostu się ono nie podobało. Niestety, również gospodyni nie wzbudziła sympatii Cassie. Barbara Johnson była drobną, ciemnowłosą kobietą, bardzo zadbaną, przy czym jedyny wyjątek stanowiły jej paznokcie: przycięte krótko i nie polakierowane. Sprytnie i rozbiegane jak u jaszczurki oczka spoglądały ciekawie na Cassie i Gideona po tym, jak wyjawiała im swoją sensację.

Gideon znieruchomiał. Cassie stała pomiędzy nim a Barbarą Johnson u wejścia do pełnego gości salonu. Czy oni wiedzą, zastanawiała się, czując, że robi się jej słabo. Czy oni wszyscy wiedzieli, że ta kobieta zaprosiła byłą narzeczoną Gideona na przyjęcie wydane z okazji zawarcia przez nich małżeństwa?

- Poproś pokojówkę, by przyniosła z powrotem płaszcz Cassie. Wychodzimy.

- Och, Gideonie, czego się spodziewałeś? - Wzrok gospodyni znów bardzo szybko prześlizgnął się po twarzy Cassie. - Wiesz przecież, że matka Melissy jest spokrewniona z moją rodziną. Nie sądziłeś chyba, że z twojego powodu zerwę z nimi kontakty? -

Potrząsnęła głową i ujęła Cassie pod ramię, zatrzymując ją w ten sposób przy sobie. -

Nie bądź śmieszny. Twój nagły ślub był poważnym ciosem dla Melissy. Powinieneś pomóc jej wybrnąć z tej sytuacji. Czyż nie mam racji, moja droga? - Ostatnie zdanie z chłodnym uśmiechem skierowała do Cassie.

Gideon nie dał Cassie szansy odpowiedzi na to pytanie.

- Nie mam wobec niej żadnych zobowiązań. To ona zerwała zaręczyny.

- Lecz nie okazałeś żalu. Mogłeś być bardziej taktowny i odczekać choć parę miesięcy. Usta Gideona zacisnęły się w wąską linię. Chwycił mocno rękę Cassie.

- Chodź, z płaszczem czy bez, wychodzimy.

Gdyby spytał ją o zdanie, gdyby wciąż jeszcze nie była na niego zła za uwagi pod adresem jej sukni... gdyby choć spojrzął na nią, a nie tylko szarpał za ramię, jakby była zabawką, o którą się pokłócił, Cassie nigdy nie odezwałaby się w ten sposób.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł.

- Co? - Skierował na nią rozplomienione gniewem oczy. - Co powiedziałaś?

- Już tutaj jesteśmy - ciągnęła rozmyślnie spokojnym i rzeczowym tonem, ciesząc się tym wybuchem jego złości. Nie był teraz chłodny i opanowany. - Wyglądałoby dziwnie, gdybyśmy teraz stąd wyszli.

- Masz rację, kochanie - poparła ją Barbara Johnson. - A poza tym, Gideonie, nie chciałbyś chyba, by wszyscy pomyśleli, że boisz się spotkania z Melissą? Niektórzy mogą nawet podejrzewać, że zerwanie zaręczyn było związane z twoim wcześniejszym bliskim związkiem z Cassandra, któremu przeciwstawiła się Melissa. Ale o nic się nie martw. Zaopiekuję się twoją uroczą żoneczką.

- Wiesz - odezwała się Cassie, delikatnie zdejmując rękę Barbary ze swojego ramienia. - Wolę być nazywana Cassie. I prawdę mówiąc, nie bardzo zachwyca mnie to określenie „uroczą żoneczka”. Brzmi dość protekcyjnie, nie uważasz? - Uśmiechnęła się słodko.

- Proszę się nie martwić. Sama zatroszczę się o siebie.

- Masz kłopoty, kochanie? - Barbara Johnson zwróciła się do przyjaciółki.

- Tak. - Eleanor Wilde obserwowała, jak jej bratanek z żoną witają gości. Sączyła wino. - Sądziłam, że po prostu Gideon wyjdzie.

- Chciał. Ona się nie zgodziła. Sama możesz przekonać się, kto postawił na swoim. Eleanor uniosła do ust kieliszek.

- Jej jedynym atutem jest seks i instynkt. Popatrz na nią. - Prostoduszna żoneczka Gideona skończyła rozmawiać z najnowszym pupilkiem Barbary i flirtowała teraz z Amosem Bergmanem, kościstym staruszkim, który miał mnóstwo pieniędzy i lubieżny uśmiech.

Eleanor uspokoiła się nieco, obserwując tę scenę. Kłopoty były nieuniknione, a mały głuptas sam prowokował los. Detektywi powinni bez trudu zrealizować drugą część planu. Eleanor było niemal żal tej małej naiwnej gąski.

Gideon przeprosił Amosa Bergmana i odciągnął Cassie na bok. Zanim ktokolwiek zdążył do nich podejść, nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Jeśli postanowiłaś zrobić z siebie przedstawienie, proszę bardzo. Ja jednak nie zostanę, żeby to oglądać, więc będziesz musiała poprosić kóregoś ze swoich nowych wielbicieli, by odwiózł cię do domu...

- Litości, Gideonie. Okazałam tylko temu starszemu panu trochę zainteresowania.

- Sprawiałaś wrażenie, jakbyś chciała mu okazać o wiele więcej.

Nachmurzyła się. Zawsze była zdania, że odrobina zazdrości, kokieterii czy próżności dodają życiu smaku. Ale to było więcej niż odrobina.

- To obrzydliwe, co powiedziałaś.

- Posłuchaj mnie. - Szyderczy ton jego głosu kontrastował ze sposobem, w jaki obejmował jej talię. - Chciałaś zostać na przyjęciu, więc zostaliśmy. Może jednak starałabyś zachowywać bardziej jak moja żona, a mniej jak podstępna kokota, za którą prawdopodobnie, po wysłuchaniu relacji mojej ciotki, uważa cię połowa zebranych tutaj osób.

Upokorzenie i gniew zlały się w jedno.

- Jeśli nie podoba ci się to, jaka jestem, może powinieneś spróbować dogadać się z Melissą. Słyszałam, że jest tutaj.

- Do diabła, Cassie, uspokój się albo sprowokujesz...

- Awanturę? - W słowach Cassie brzmiało wyzwanie.

- Jestem pewna, że twoja była narzeczona nigdy nie zachowałaby się niestosownie w miejscu publicznym, ale ja kocham awantury. Głośne, hałaśliwe awantury. Cofnął się.

- A ja nie. - Odwrócił się i odszedł.

Nie wyszedł. O, nie. Niełatwo jednak było obserwować go, zwłaszcza gdy Cassie musiała flirtować jak szalona z każdym napotkanym przedstawicielem płci przeciwnej, by pokazać swemu zadufanemu mężowi, na czym polega różnica pomiędzy zwykłą uprzejmością a zachowaniem, o jakie ją oskarżył.

Kobieta stojąca obok Gideona wspomniała coś o sztuce, którą widziała ostatnio.

Odpowiedział byle co, nie odrywając wzroku od Cassie, która niczym barwny motyl fruwała między mężczyznami. Jak wielu musi ich być, myślał zgnębiony, by uznała, że został należycie ukarany?

Zauważył, że w drugim końcu pokoju Cassie zwróciła rozpromienioną twarz do dziedzica ogromnej fortuny, dwukrotnie rozwiedzonego postawnego mężczyzny, który obecnie nie był akurat z nikim związany. Patrzył, jak tamten kładzie dłoń na ramieniu jego żony.

Czuł, że nie wytrzyma tego długo.

- Jest zachwycająca, Gideonie.

Nie spodziewał się usłyszeć tego głosu. Choć powinien. Został przecież ostrzeżony.

- Musimy porozmawiać - powiedziała Melissa. - W cztery oczy.

Cassie zerknęła w drugi koniec sali i dostrzegła przy boku Gideona wysoką blondynkę w błękitnej jak tafla lodu sukni. Choć twarz kobiety nie była widoczna z tego miejsca i tak wiedziała, kim ona jest. Nie zamierzała tracić czasu. Nie była głupia. Nie mogła pozwolić, by jej mąż, którego tak usilnie starała się przez cały wieczór doprowadzić do wściekłości, pozwolił sobie na czułe tete-a-tete z kobietą, którą chciał poślubić zamiast niej.

Niestety, nagle zagadnął ją jeden z krytyków malarstwa współczesnego. Gdy dotarła do miejsca, gdzie ostatnio widziała Gideona i Melissę, już ich tam nie było.

Pierwsze drzwi prowadziły do biblioteki. Parę, która przebywała w tym pokoju i siedziała na kanapie, nie zachwyciło jej wtargnięcie. Potem odnalazła łazienkę, jadalnię, sypialnię, która służyła dzisiaj za coś w rodzaju garderoby dla pań, oraz kuchnię. Nigdzie nie było śladu Gideona i Melissy. Cassie poczuła pierwsze ukłucie paniki. Do sprawdzenia pozostawał już tylko ogród i pokoje na górze. Ogród był na razie jedynie świadectwem dobrych chęci i ambicji gospodarzy, którzy w wyrównana, ubitą ziemię tu i ówdzie powtykali rachityczne krzaczki i bezlistne badyle. Dzisiejsza aura i spodziewane przymrozki stanowiły duże zagrożenie dla tych skromnych okazów flory. Cassie ruszyła po schodach na górę, gdzie znajdowały się sypialnie.

- Zimno mi - poskarżyła się Melissa, owijając ciaśniej wokół ramion wełniany szal, który dał jej Gideon.

- Przepraszam. Ale nie chciałem, aby wyglądało to na schadzkę - usprawiedliwił się. - To jedyne miejsce, gdzie przy tej pogodzie możemy porozmawiać w cztery oczy, nie budząc niczych podejrzeń.

Kiedy odezwała się, w jej głosie pobrzmiwała zarówno duma, jak i irytacja.

- Mam nadzieję, że nikt nie posądziłby mnie o chęć uwiedzenia mężczyzny, który ożenił się zaledwie tydzień wcześniej. A przynajmniej... - Gideon usłyszał znaną mu żartobliwą nutę - nie w tym stroju.

- A więc powiedz, co chciałaś powiedzieć, i będziemy mogli wrócić na przyjęcie.

Spuściła oczy.

- To niełatwe. Chciałam... Przepraszam. Chyba zawsze będę wstydziła się tego, w jaki sposób zerwałam nasze zaręczyny: czekałam tak długo, a potem nie miałam nawet odwagi spojrzeć ci w oczy.

Stała przed nim kobieta, którą tyle razy trzymał w ramionach. Doskonale pamiętał smak jej ust i gładkość śnieżnobiałej skóry. Melissa nie zmieniła się. Wciąż stanowiła ideał żony, o jakiej marzył przez wiele lat. A jednak nie pożądał jej w ogóle.

- Przez długi czas wmawiałam sobie, że cię kocham. Tego małżeństwa chcieli moi rodzice i ty... Och, ty też mnie nie kochałeś. - Zaśmiała się gorzko. - Chciałeś jedynie zapanować nad moim życiem.

Gideon zmarszczył czoło.

- Nigdy niczego ci nie narzucałem.

- Chcesz panować nad wszystkim i wszystkimi. - Westchnęła. - Och, nie prosiłam o tę rozmowę, byśmy się pokłócili. Sądziłam, że jestem ci winna pewne wyjaśnienia. Może... - zawahała się na moment - miałam nawet nadzieję, że kiedyś moglibyśmy znów zostać przyjaciółmi.

Cassie, pomyślał Gideon, nigdy nie obawiałaaby się kłótni. Każda sprzeczka stanowiła dla niej wyzwanie, którego nie odrzucała.

- Być może - powiedział, w tej samej chwili zdając sobie sprawę, że Cassie nigdy nie mogłoby opatrzyć wygodną etykietką „przyjaciółki”.

- Gideonie? Wyglądasz... - Głos Melissy wyrwał go z zamyślenia. Stała przed nim kobieta rozsądna i zrównoważona, doskonale pasująca do modelu życia, jakie sobie wymarzył. Zauważył, że drży.

- Wejdz do środka - powiedział. - Za chwilę do ciebie dołączę.

Pierwszy pokój był pusty. Całkowicie. Najwyraźniej Barbara Johnson nie zdążyła jeszcze umeblować całego domu. Cassie podeszła do następnych drzwi. Ufała Gideonowi. Wiedziała, że nie zobaczy tam niczego, co mogłoby zmienić jej życie lub złamać serce...

Nacisnęła klamkę.

W pokoju było ciemno. Przesunęła ręką po ścianie, poszukując kontaktu. Włączyła światło.

Wtedy właśnie ktoś chwycił ją od tyłu.

Krzyknęła. Mężczyzna, wysoki i silny, z pewnością nie był Gideonem i wionęło od niego alkoholem.

- Hej, kotku. To był dobry pomysł. Ale powinnaś była uprzedzić mnie, na co masz ochotę. Barbara potrafi być zaborcza.

Odrzuciła rękę, która przesuwiała się w górę jej talii. Wystraszona oddychała z trudem.

- Puść mnie, idioto. Szukam męża. Mężczyzna zachichotał.

- Oczywiście, ślicznotko. To dlatego przez cały wieczór posyłałaś mi te znaczące spojrzenia. Bo szukasz męża. I dlatego powiedziałaś Barbarze, by wysłała mnie za tobą...

Nagle jej napastnik został popchnięty. A ponieważ jego ramię było owinięte wokół jej talii, Cassie podążyła jego śladem. Szybko jednak czyjeś inne ramię, silniejsze i znacznie bardziej wyczekiwane, chwyciło ją mocno i wyrwało z niechcianego uścisku. Mężczyzna w tym czasie zderzył się z przeciwległą ścianą.

Oczy Gideona płonęły gniewem.

- Wyjdź - rozkazał, zwracając się do przerażonego młodzieńca. Cassie rozpoznała w nim chłopca, z którym wcześniej rozmawiała w salonie. - Szybko. Zanim zrzucę cię ze schodów. I powiedz Barbarze, żeby skończyła ze swoimi gierkami, zanim ktoś na tym ucierpi. Bo tym kimś może okazać się ona.

Mężczyzna nie zastanawiał się długo. Przepętnął obok nich tyłem niczym pajak i uciekł przerażony.

Cassie wstrząsnął dreszcz. Teraz dopiero opadł ją strach, którego nie dopuściła do siebie w chwili, gdy atakował ją cuchnący alkoholem pupilek Barbary Johnson.

- Mam nadzieję, że słyszałeś, co ten ptasi mózdzek mówił o tym, że wysłała go Barbara? Powinieneś też wiedzieć, że ja nie...

- Nie mów nic. - Zaciśnął palce wokół jej nadgarstka i wciągnął Cassie do środka pokoju. Zmarszczyła gniewnie brwi.

- Nie mam zamiaru znosić takiego... przestań natychmiast - zażądała, próbując wyrwać rękę. - Jeśli sądzisz, że powinnam być wdzięczna za tego rodzaju traktowanie, grubo się mylisz. Tak naprawdę to nie ratowałeś mnie, ale po prostu zażądałeś zwrotu swojej własności. Jak chłopiec, któremu kolega zabrał piłkę.

- Dokładnie tak było - potwierdził, opierając się o drzwi. - Nie ma zamka, więc będziemy musieli zostać tutaj, tak, bym blokował wejście.

- Co...

Chwycił jej nadgarstek, przyciągając Cassie do siebie. Przez moment patrzył na nią, a potem wpił się ustami w jej wargi. Przyłgnęła do niego, odurzona zapachem whisky, wody kolońskiej i Gideona. Nie mógł ugasić pragnienia, które narastało w nim od tygodni. Próbował, lecz pożądał jej już zbyt długo. Znaczył pocałunkami jej twarz i szyję. Jęk, jaki wyrwał się z piersi Cassie, musiał sprawić mu przyjemność. Powędrował dłońmi w dół jej pleców.

- Ja nie... - Z trudem potrafiła zebrać myśli, znaleźć i wypowiedzieć odpowiednie słowa. - Gideonie, niezależnie od tego, jak to wyglądało, nie chciałam, żeby ten półgłówek poszedł za mną.

- Sądzisz, że o tym nie wiem? - Jego głos brzmiał gniewnie. Przygryzł jej dolną wargę, na tyle mocno, by zadać ból. Potem dotknął językiem maleńkiego skaleczenia.

Nogi uginały się pod Cassie. Zaciśnęła mocniej palce na jego ramionach, by nie osunąć się na podłogę.

- Muszę cię mieć. - Jego ręka, duża i ciepła, nakryła jej pierś.

Jej serce oszalało.

- Nie możemy... nie tutaj - wyszeptwała. Nie w domu kobiety, która była autorką tego obrzydliwego podstępu. Nie w trakcie przyjęcia, gdy w każdej chwili ktoś z gości mógł wejść do tego pokoju, którego nawet nie można zamknąć na klucz.

- Opieram się o drzwi. Nikt nie wejdzie - zapewnił ją. Wędrował ustami po jej szyi i dekolcie. - Muszę wreszcie zobaczyć to, czym dręczyłaś mnie tyle czasu. Pozwolisz mi. - Szybko uporał się z zapinką przytrzymującą suknię. - Oboje wiemy od dawna, że

pozwołisz mi na wszystko i... Boże! Cassie. Jestem tylko człowiekiem. Muszę cię mieć. Teraz.

Zaprotestowałaaby przeciw tym przypuszczeniom, gdyby zdolna była jeszcze mówić. Ogień jego pożądania ogarnął ją bez reszty, pozbawiając woli. Teraz chciała tylko stopić się z Gideonem w jedno w pożarze zmysłów. Czerwona tkanina owinęła się wokół jej talii, odstawiając spragnione jego rąk ciało.

Niski, chropawy dźwięk wyrwał się z gardła Gideona, gdy stanęła przed nim, ofiarowując mu swą nagość. Potem pochylił głowę, by posmakować nabrzmiałej wypukłości jej piersi.

Gideon nie był przygotowany. Nawatnica emocji porwała go ze sobą, odbierając rozsądek i władzę nad zmysłami. A jednak Cassie wciąż pozostawała dla niego niedostępna, nie mógł wziąć tego, bez czego nie potrafił już żyć.

Stanowczym ruchem obrócił ją do tyłu. Próbowwała protestować, lecz nie słuchał jej. Teraz jej plecy przylegały ciasno do jego torsu. Uniósł ją delikatnie, wsuwając nogę pomiędzy jej uda. Chciała odwrócić się, lecz trzymał ją mocno.

- Pozwól mi - poprosił, oddychając ciężko. - Musi tak być.

Przywarł łędźwiami do miękkich krągłości jej ciała, na chwilę poddając się palącemu żądaniu zmysłów.

Przesuwał dłoń w górę aksamitnego uda, obsypując pocałunkami jej kark. Oddychała szybko, chłonąc jego pieszczoty. Uniósł w górę czerwony jedwab, którego widok dzisiejszego wieczoru stanowił dla niego najbardziej wymyślną torturę. Kiedy pod spodem znów dostrzegł czerwień, wąski pasek połączony z czarną koronką, wydał cichy jęk zachwyty i zarazem rozpacz.

Wsunął palce pod koronkę przytrzymującą figi i pociągnął w dół.

- Otwórz się - poprosił, wsuwając głębiej udo pomiędzy jej nogi. - Otwórz się dla mnie.

Postuchała tej prośby. Och, jak bardzo pragnęła odwrócić się, obejmować go i całować, przyjmując wewnątrz siebie. Ale Gideon postanowił, że będzie inaczej. Przez chwilę delikatnie badał jej sekrety, a potem zanurzył palce w wilgotnej głębi.

Zadrzała. I poruszyła się, nieświadoma własnej reakcji. Pamiętała tylko o jego pieszczocie, unosząc się w rytm pchnięć jego ręki. Choć pragnęła znacznie więcej, nawet taka bliskość napełniała ją radością, kiedy, pulsując rozkoszą, otaczała jego dłoń.

Powoli, pomału, wracała do rzeczywistości. Oddychała szybko, odzyskując stopniowo świadomość tego, co się z nią działo. Spróbowała obrócić się, chcąc jemu także podarować spełnienie.

- Nie - powstrzymał ją. - Poczekaj chwilę. Nie... jestem jeszcze spokojny.

- Teraz nie czas na spokój - odparła, ocierając się o jego tors.

- Cassie... - Jego oddech był ciężki, a słowa brzmiały niewyraźnie. Poruszył się, wysuwając spomiędzy jej ud nogę i cofając ręce. - Proszę, nie utrudniaj bardziej.

O czym on mówi? Potrząsnęła głową, wciąż jeszcze oszołomiona rozkoszą, jaką jej dał, odmawiając prawdziwego spełnienia. Gideon zaczął poprawiać jej suknię.

Zrozumiała nagle. Gideon nie zamierzał się z nią kochać. Zmienił zdanie... ponownie. Odepchnęła jego rękę.

Pospiesznie porządkowała swoje ubranie. Drżącymi palcami mocowała się z ozdobną zapinką sukni. Jej oczy wypełniły piekące łzy i teraz cieszyła się, że Gideon nie może widzieć jej twarzy. Nie wiedziała, czy będzie umiała spojrzeć mu teraz w oczy. W jaki sposób potrafi wrócić z nim do domu samochodem... żyć z nim, kiedy on tak po prostu

odsunął ją na bok, niczym marynarkę, którą przymierzył, lecz ostatecznie nie zdecydował się jej kupić.

- Proszę. - Sięgnął do zapinki, z którą wciąż nie mogła sobie poradzić. - Pozwól, pomogę ci.

- Nie dotykaj mnie.

- Hej. - Ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała na niego. Jej oczy iskrzyły się gniewem. - Jeśli ktoś z nas ma powód, by być nieszczęśliwy, to raczej ja.

Nie wyglądał na... szczęśliwego. Przygryzła wargę.

- Dlaczego? - szepnęła.

- Wiem, jak wyglądają pigułki antykoncepcyjne i nie zauważyłem ich nigdzie w mieszkaniu, Cassie. - Jego twarz pomału odzyskiwała swój zwykły, chłodny wyraz. - Nie chcę ryzykować katastrofy dla kilku chwil choćby najwspanialszego seksu.

Cofnęła się, dotknięta tym wyznaniem.

- Czy to byłaby taka katastrofa, gdybym zaszła w ciążę? Gideon odzyskał już panowanie nad sobą.

- Oczywiście, że tak.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Obawiała się, że jest w ciąży.

Dziewięć dni spóźnienia, przekonywała siebie Cassie tydzień po przyjęciu, nic jeszcze nie znaczy. Choć miesiączka zawsze pojawiała się u niej równie regularnie jak inkasent z elektrowni. Ze zmarszczonym czołem przyglądała się trzymanej w ręku palecie. Więcej błękitu, pomyślała, rozrabiając kolejną porcję farby. Potrzebowała ciemnej, intensywnej purpury. Nie zgaszzonej szarością. Ciemna barwa miała kryć w sobie życie.

To najprawdopodobniej stres. Zdenerwowanie i zmiany często były wymieniane jako czynniki zakłócające cykl. A czy ostatnie tygodnie nie obfitowały w zmiany i stresy? Przeprowadzka, nowa praca, małżeństwo... Tak, zwłaszcza małżeństwo stanowiło niewyczerpane źródło stresów.

Promienie popołudniowego słońca zalały pokój, który przerobiła na swoją pracownię. Popołudniowe światło było doskonałe do mieszania kolorów, ale kiepsko pasowało nastrojem do jej nowego obrazu. Bardziej na miejscu byłaby burza z piorunami, pomyślała, nieświadomie kładąc dłoń na brzuchu. Burza gradowa i huragan.

Odłożyła na bok nie skończony obraz. Narastała w niej inna wizja, zbyt silna, by mogła ją zignorować. Chciała namalować kobietę o spokojnej, nierzeczywistej wręcz twarzy. Jej purpurowobłękitna suknia, rozwiana wokół postaci wyłaniającej się z czarnego tła, mówiłaby o strachu.

Tego dnia praca pochłonęła ją bez reszty. Do tego stopnia, że kiedy kilka godzin później usłyszała za plecami głos Gideona, drgnęła gwałtownie i odwróciła się w stronę drzwi. Na jego czole rysowała się zmarszczka.

- To niepodobne do innych twoich obrazów.

- Nie... - Smągła cera i kruczoczarne włosy doskonale współgrały ze śnieżną bielą koszuli. Jego widok wciąż sprawiał, że jej serce zaczynało bić szybciej, na moment pozbawiając ją tchu. Cassie zerknęła na płótno pokryte wirującymi tumanami ciemnej purpury i czerni. Twarz i ręce kobiety zaznaczyła na razie ostrą bielą plam. Jak wiele zobaczył Gideon, patrząc na ten obraz?

- Chciałam spróbować czegoś innego - wyjaśniła. - Czy jestem spóźniona? - spytała z uśmiechem, zanurzając pędzel w puszcze z rozpuszczalnikiem. - Zdążę wziąć prysznic? Byli umówieni. Znowu. Szósty dzień z rzędu wychodzili gdzieś wieczorem. Żadnego od czasu przyjęcia nie spędzili w domu. Gideon zabierał ją na randki, bo tym chyba właśnie miały być te ich wyjścia, na których zawsze towarzyszyli im jacyś ludzie, inna para lub grupa znajomych. Nigdy nie byli sami.

- Och, myślę, że tak. Jeśli to nie zabierze ci zbyt wiele czasu. - Wyciągnął w jej stronę wygniecioną papierową torbę od Neimana-Marcusa.

Wstrzymała oddech. Kolejny prezent? Przedwczoraj przyniósł jej bukiet. Nie była to zwykła wiązanka, której kupienie można by zlecić sekretarce. Przyniósł trzy balony przywiązane do pęczka lizaków, przypominających kształtem kwiaty.

- Daj - zażądała radosnym głosem.

- Lepiej zmyj z siebie najpierw farbę - poradził jej z uśmiechem, jakby jej widok zachwycał go mimo kolorowych plam na ubraniu i rękach.

Wszystko zmieniło się między nimi... na lepsze. Choć po tamtej scenie na przyjęciu oczekiwała najgorszego, z jakiegoś powodu Gideon zaczął nagle starać się o jej względy.

- Umyłam ręce - zawołała, wracając z łazienki. - Daj mi mój prezent.

Z niecierpliwością pięciolatki zajrzała do pomiętej torby.

- Och... - W środku był pająk. Różowy, włochaty pająk wielkości jaśka o futerku miękkim jak puch. Na oczy opadały mu czarne, grube rzęsy, a nogi majtały się zabawnie.

- Ta pajęczyca jest wspaniała. - Cassie przytuliła do siebie zabawkę. - Śliczna.

Gideon wydawał się lekko zawstydzony, lecz zadowolony.

- Jest tak podobna do ciebie.

- Naprawdę? - Cassie odsunęła od siebie prezent, by lepiej mu się przypatrzeć.

- Niezwykle seksowna. I ma bardzo długie nogi - dodał.

Ich oczy spotkały się. Przez sześć dni i sześć nocy Gideon nie dotknął jej.

Może było to poczucie winy. Czyżby ich randki i ofiarowane jej prezenty oznaczały to właśnie, że Gideon czuje się winny? A może... może Gideon domyślał się, jak Cassie bardzo go kocha. Może wiedział więcej, niż sądziła. Może chciał pielęgnować w niej to uczucie, ogrzewać się przy jego ciepłe, cieszyć się poczuciem przynależności, jakie dawała mu jej miłość. Ofiarowywał jej wspólnie spędzany czas, drobne upominki, okrucy siebie, broniąc się przed namiętnością, przed gwałtownością emocji, jakie budziła w nim jej bliskość.

Jego spojrzenie paliło ją. Wiedziała, że już niedługo Gideonowi uda się zachowywać ten dystans.

Już wkrótce, mówiły jego oczy. Wkrótce.

- Mogę poczekać jeszcze kilka dni - upierała się Cassie.

- Nie ma mowy. - Jaya zaparkowała samochód przed drogerią, która stanowiła cel ich podróży. Poprzedniego wieczora wraz z Gideonem, Ryanem i jego dziewczyną wybrali się do klubu, w którym występowała Jaya. W czasie przerwy Cassie zwierzyła się przyjaciółce ze swojego kłopotu. To był mój błąd, myślała teraz ponuro. Mimo protestów, Jaya postanowiła zawlec ją na spotkanie z rzeczywistością, która w tym wypadku oznaczała drogerię Biddermana.

Cassie wysiadła z samochodu. Na jej twarzy malował się wyraz rezygnacji. Jaya ujęła w dłonie jej ręce.

- Wiesz, że możesz na mnie liczyć, prawda? Niezależnie od tego, co się stanie. A jeśli będziesz musiała przekazać temu facetowi, którego poślubiłaś, jakąś wiadomość... - Zmarszczyła czoło. - Jeśli nie uwierzy, że to on jest tatusiem, przyjdę i go zastrzelę, zgoda?

Cassie nie mogła powstrzymać śmiechu. Ani też.

Wichry błękitu i purpury szalały wokół kobiety o bladej, spokojnej twarzy. Cassie zdecydowała się pozostawić jej cerę jasną, rysy twarzy były wyraźne, choć pozbawione koloru. Kobieta spoglądała w dal. Jedną ręką przytrzymywała ciemną, wirującą tkaninę. Teraz jednak Cassie nagle użyła barwy, o której nie myślała wcześniej. W niektórych miejscach na obrazie pojawiły się delikatne jęczyczki zieleni.

Zieleń. Kolor nadziei, symbol nowego życia.

Cassie uśmiechnęła się, patrząc na kobietę, której jedna ręka chwyciła ciemną tkaninę, zaś druga spoczywała na łonie.

Dziecko.

Jak mogło oznaczać katastrofę? Macierzyństwo było dla niej sprawą nową i napawającą strachem, ale chciała tego dziecka. Musi jedynie dać Gideonowi część swojej radości, by i on zrozumiał, że ich dziecko to cud, a nie tragedia.

Jej rozważania przerwał dzwonek do drzwi.

Z ociąganiem sięgnęła po szmatkę do wytarcia pędzla. Nie miała ochoty odrywać się od malowania. Ale ktokolwiek zakłócał teraz jej spokój, znajdował się na zatwierdzonej liście gości. Inaczej nie zostałby wpuszczony do budynku.

- Och - zawołała lekko zaskoczona. - Z kim mam przyjemność?

Mężczyzna, kiedyś zapewne przystojny, stał w progu, z przyklejonym do twarzy dziwnie znajomym uśmiechem. Miał na sobie znoszony szary płaszcz i zakurzone buty. Jego rysy znaczyły głębokie bruzdy, a białe pasma we włosach przydawały mu dramatycznego wyglądu.

- Witaj, kochana. - Jego usta wygięły się teatralnie. - Nie uściskasz teścia?

Gideon wiedział, kto oczekuje go na piątym piętrze. Instrukcje dotyczące tego wyjątkowego gościa były wyraźne: wpuścić, ale natychmiast zawiadomić Gideona.

Dlaczego nie skreślił go z listy, zastanawiał się teraz, wbiegając do góry po kilka stopni naraz? Rzeczywiście jego ojciec nie pokazywał się przez pewien czas, już prawie przez cztery lata, ale to nie stanowiło żadnego usprawiedliwienia. Nie chciał, żeby jego żona dowiedziała się

o wszystkim.

- Czy mogę przygotować coś więcej? - spytała Cassie.

- Nie, nie - Gideon usłyszał zniechęcony głos. - Kawa wystarczy. I mogę poczekać, naprawdę. Już tak dawno... - Westchnął. - Proszę, nie martw się tym. Wiem, że Gideon opowiada, że ja... cóż, że mnie już nie ma. Ale nie możesz mieć mu tego za złe. - W głosie mężczyzny pojawiła się nuta żalu. - Ma swoje powody. Ja... nie byłem najlepszym ojcem.

Gideon wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Trzask klamki zaalarmował siedzące na przeciwległych kanapach osoby. Oboje spojrzeli w jego stronę. Cassie miała na sobie workowate szorty, umazaną farbą koszulkę i uprzejmy uśmiech przyklejony do twarzy. Druga osoba...

Gdyby tylko nie to wrażenie, że patrzy w lustro, które w tajemniczy sposób dodaje mu trzydzieści lat. Jak najszybciej chciał mieć to za sobą.

- Ile to będzie kosztowało tym razem? - spytał bez wstępów.

Ojciec odstawił filiżankę i wstał.

- Gideonie. - Ciemne, zbyt znajome w sieci zmarszczek oczy przybrały łagodny wyraz. - Miło mi cię widzieć, synu.

Gideon zdusił w sobie narastającą wściekłość.

- Nie potrafisz odmówić sobie przyjemności odegrania sceny przed nową widownią? -

Niepokój w oczach Cassie dobitnie świadczył o tym, że Gideon wie, o czym mówi.

Podszedł bliżej do mężczyzny, który go spłodził. - Jeśli jeszcze kiedyś zdecydujesz się niepokoić moją żonę podczas mojej nieobecności, będziesz tego żałował. Cassie wstała z kanapy.

- Gideonie, ależ on...

Spojrzenie męża sprawiło, że nagle zamilkła.

- Później. - Potem zwrócił się do ojca. - Nie bądź chciwy. Zobaczyłeś ją i oceniłeś, że jest wrażliwa. Masz rację. Ale dlatego właśnie będziesz się trzymał od niej z daleka. Bo jeśli usłyszę, że próbujesz nękać ją tak, jak nękałeś mnie przez lata, stracisz więcej niż tylko szansę uzyskania jakiegokolwiek gotówki ode mnie. Wiem, jak działasz, a mogę dowiedzieć się jeszcze więcej i postaram się, byś trafił za kratki... ponownie.

Starszy człowiek pochylił lekko głowę.

- Dobrze, synu.

Szczęki Gideona zacisnęły się mocniej.

- Skończ z tym, jeśli w ogóle chcesz dziś cokolwiek dostać. A to jest cel twojej wizyty, prawda?

Cassie miała wrażenie, że widzi aktora, który nagle zdecydował się zrzucić maskę.

Timothy Wilde nachylił się, by odstawić filiżankę z kawą. Kiedy się wyprostował, głowę trzymał wysoko, a jego rysy były ostre i wyraźne. Ciemne oczy nie wyrażały już wzruszenia.

- Och, i tak nie bardzo chciała to kupić. Oczywiście, współczuła mi, ale cały czas była spięta. - Zmarszczył lekko brwi. - Albo wychodzę z wprawy, albo poślubiłeś inteligentną kobietę.

Cassie z trudem mogła uwierzyć własnym oczom. I uszom. Nie czuła się dobrze w towarzystwie obscurnego staruszka, który złożył jej wizytę, ale dopiero jego cyniczne słowa wstrząsnęły nią naprawdę.

- Obawiam się, że trochę ją zaszokowałem. - W jego głosie pobrzmiwała drwina. - Proszę o wybaczenie, Cassandro, ale tak bardzo chciałaś widzieć we mnie miłego starszego pana, że nie mogłem oprzeć się pokusie. Kobiety lubią otaczać troską mężczyzn swojego życia.

Cassie poczuła dreszcz, kiedy odezwał się Gideon.

- Ale ty nie jesteś mężczyzną jej życia. Lepiej, żebyś o tym pamiętał.

Timothy Wilde upił łyk kawy, uważnie przyglądając się synowi.

- Trzydzieści tysięcy - oświadczył uprzejmie - i nie będziesz musiał oglądać mnie przez najbliższe dwa lata.

- Nie jesteś w stanie dotrzymać słowa przez dwa lata. Timothy wzruszył ramionami.

- A więc dwadzieścia tysięcy za rok.

Cassie rozpaczliwie pragnęła coś powiedzieć. Lecz co? Może gdyby była przygotowana na te odwiedziny, nie stałaby w milczeniu, obserwując z przerażeniem, jak jej mąż negocjuje z własnym ojcem cenę za zniknięcie tego ostatniego z ich życia.

Ale, aby być przygotowaną, musiałaby wiedzieć, że ojciec Gideona żyje.

Nie trwało to długo. Ustalili cenę za rok nieobecności na piętnaście tysięcy. Timothy Wilde miał odebrać je następnego dnia rano w biurze Gideona pod zmienionym nazwiskiem. Cassie zacisnęła dłonie w pięści, patrząc, jak mężczyzna, którego od dawna miało nie być wśród żywych, wychodzi z ich mieszkania.

- Porozmawiaj ze mną - poprosiła Gideona, kiedy drzwi zatrzasnęły się za jego ojcem.

- Czy to nie jest oczywiste? - Zaciśnięte szczęki Gideona mówiły o latami tłumionych emocjach. - Nie chcę, by łączono mnie z tym śmieciem. - Szybkimi, zdecydowanymi krokami pokonał odległość dzielącą go od barku.

- Ale... - Nie sądziła, że tak mało jej ufa. - Czy Ryan wie o twoim ojcu?

- Boisz się, że brat też cię okłamał? Nie martw się. Przed nim również ukryłem prawdę. - Sięgnął po butelkę. - Masz ochotę się przyłączyć? Nie? Możesz łatwo zauważyć, że między mną a tym parchem jest wiele wspólnego. Obydwaj kłamiemy i ja także czasem potrzebuję się napić. - Zdjął z półki szklaneczkę i nalał sobie szkockiej whisky.

W jego słowach było tyle bólu i cierpienia, że Cassie zadrżała.

- Nie sądzę, żebyś musiał teraz wypić - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to chłodno i obojętnie. - Myślę, że chcesz raczej udowodnić sobie, że możesz wypić. Jednego drinka. I na tym skończyć.

Znieruchomiał na moment.

- Ale nie zawsze kończę na jednym, prawda? Czy może, podobnie jak ja, zapomniałeś o naszej nocy poślubnej? W tym też go przypominam. - Ujął szklanekę i jednym haustem wypił zawartość. - Nawet na jego picu nigdy nie można było polegać.

Powinna się wycofać. Wiedziała, że Gideon tego właśnie chce, a zważywszy na jego nastrój, z pewnością zraniłby ją, gdyby nie zostawiła go samego z jego bólem. Cassie nie była głupia. Wiedziała, kiedy należy zrezygnować.

Ruszyła w jego stronę.

- Dlaczego kłamałeś? Nie tylko mnie okłamywałeś, ale wszystkich. Przez lata. - Nie mogła patrzeć na jego cierpienie, ból, nienawiść, która panoszyła się w jego sercu. Nie mogła patrzeć na to obojętnie.

- Wstydzilem się. - Gwałtownie odstawił szklanekę na blat. - Czy to chciałaś usłyszeć?

- Nie, bo to nie jest prawdą. - Stała przed nim. -A przynajmniej nie całą. Jesteś najuczciwszym ze znanych mi ludzi, Gideonie. Nie kłamiesz, nie unikasz odpowiedzialności, nie cofasz danego słowa.

Chwycił ją za ramiona.

- Na Boga, kobieto, czy nie ma w tobie instynktu samozachowawczego? Nie jestem jakimś gipsowym świętym. Jestem brutalny, samolubny i...

- I silny, uczciwy, a także...

- Przestań. Na Boga, przestań się oszukiwać. Może cię to drogo kosztować, dziewczynko, jeśli nie przestaniesz chodzić z rozmarzonymi oczami, wmawiając w siebie, że jesteś we mnie zakochana!

Zadrżała. Jej serce biło tak mocno, jakby przed chwilą skończył się bieg, który przegrała. Miała spocone dłonie i wyschnięte wargi. Ale uniosła do góry głowę.

- Sądzisz, że jestem na tyle głupia, by wmawiać sobie miłość do ciebie? To rzeczywiście byłoby bardzo mądrze z mojej strony, zwłaszcza gdy ty chcesz ode mnie jedynie seksu przez rok, a właściwie wolałbyś, żeby było to sześć miesięcy. Och, i gotów jesteś jeszcze dać mi trochę pieniędzy. To powinno wystarczyć, bym zwariowała na twoim punkcie. - Spróbowała uwolnić się z jego uchwytu, lecz zacisnął mocno palce na jej ramionach niczym biedak, który boi się stracić znalezioną przez siebie bryłkę złota.

- Cassie...

- Zamknij się. Seks i pieniądze to wszystko, co proponujesz, a potem, po roku, możemy się rozejść w zgodzie, żeby Ryan był zadowolony. - Spróbowała znów odsunąć jego ręce. - Doskonale znam różnicę pomiędzy miłością a wmawianiem jej w siebie, bo tak właśnie straciłam dziewictwo, wmawiając w siebie, że kocham... nie ciebie... Pocałował ją.

Delikatnie. Czule. Powoli. Jego usta poruszały się spokojnie, jakby cała wieczność należała do nich i jakby na świecie nie było niczego innego, czym wolałyby się zająć. Absolutnie nic poza delikatnym muskaniem jej warg, nic poza dawaniem jej przyjemności...

- Och... - westchnęła, oszołomiona, kiedy uniósł na chwilę głowę. - To nieuczciwe, Gideonie. - Nie wiedząc nawet o tym, wsunęła ręce pod jego marynarkę. Poprzez cienką tkaninę koszuli czuła emanujące od niego gorąco. Objęła go mocno.

- Wiem - powiedział, gładząc jej policzek. Jego dłonie były delikatne, choć oczy płonęły ogniem.

- Hej! - zawołała zaskoczona, kiedy nagle znalazła się w górze. Unosił ją w ramionach, zdecydowanym krokiem zmierzając w stronę sypialni.

- Może to nie jest fair, ale zabieram cię do łóżka. Zasłużyłaś sobie na to.

Nie zamierzała protestować. Nie chciała ryzykować gniewu brutala, który w każdej chwili mógł ją upuścić.

Dopiero gdy dotarli do łóżka, ich ciała stały się, splątane ze sobą. Szarpała jego ubranie, przeklinając cicho, aż wreszcie zdołała rozluźnić węzeł krawata i rozpiąć górne guziki koszuli. Gideon jednym mocnym ruchem pociągnął w dół szorty Cassie, urywając przy tym guzik. Nakrył ręką niewielki trójkąt koronki zasłaniający jej kobiecość i jęknął.

- Och, Cassie - powiedział. - Każ mi zwolnić.

- Dobrze. - Jej usta wytyczały szlaki na jego twarzy i ramieniu, podczas gdy niecierpliwe palce starały się zdjąć marynarkę i koszulę jednocześnie. - Pomóż mi - poprosiła.

Wspólnie udało im się pozbyć reszty jego ubrań. Nagi, wysoki i niebywale męski szarpnął do góry koszulkę Cassie, a potem zrzucił też koronkową bieliznę. Wreszcie oboje stanęli naprzeciw siebie nadszy w gęstniejącym półmroku.

Odwrócił się na moment, by nałożyć prezerwatywę. Zadrżała, kiedy znów powrócił do niej, okrywając ją swym gorącym, twardym ciałem.

Znieruchomiał.

- Cassie. - Delikatnie, jakby była płochliwą łanią, dotknął jej twarzy. - Co się stało?

- Nic. - A jednak drżała. Oparła obie dłonie na jego torsie. Czuła szaleńcze bicie jego serca, ciepło skóry. Uniosła głowę, by potrzebować policzek o jego pierś. Wdychała jego zapach. - Kocham cię - szepnęła.

Pochylił się, by pocałować ją czule i delikatnie. Jakby dziękował za słowa, które wypowiedziała przed chwilą.

Pożądanie szybko wzięło górę nad wyższymi uczuciami. Ich pocałunek stał się gwałtowny i głęboki. Cassie wygięła się w łuk, pragnąc ostatecznego spełnienia, lecz Gideon, wciąż nieprzystępny, unosił się kilka centymetrów ponad nią, gładząc i pieszcząc jej rozpalone ciało, lecz nie przynosząc ulgi.

Wreszcie, kiedy zatraciła się już niemal w tym bezmiarze przyjemności, przytrzymał jej biodra i wniknął do środka.

W niej. Gideon był w niej. Czują go w sobie, jego żar, pulsowanie...

Wszystko zachwiało się, zniknęło, zawirowało porywając ją ze sobą, zanurzając w rozkoszy. Kiedy znów nabrała powietrza do płuc, Gideon eksplodował, wraz z nią pogrążając się w beczcasie. Na krawędzi jawy słyszała jeszcze, jak wypowiada jej imię. Oddychali głośno. Leżała na plecach, uśmiechając się do niego. Był ciężki, lecz nie miało to znaczenia. Z trudem wracając do rzeczywistości, uniosła rękę, by pogłodzić rozgrzaną, spoconą skórę kochanka. Jej kochanka.

- Hej - szepnęła.

Czuła, że się uśmiecha, choć twarz Gideona ukryta była w jej włosach. Uniósł się trochę na łokciach, pozwalając jej odetchnąć głębiej.

- Hej, mała. - Jego oddech łaskotał ją przyjemnie. -Wszystko w porządku?

Odrobinę przesunęła głowę w lewo, potem w prawo, tylko tyle, by oznaczało to „nie”.

- Chyba nie przeżyłam.

- Szkoda. - Znów się poruszył. Najwyraźniej bardziej niż ona panował nad swoim ciałem. Spojrzał w jej oczy, jednocześnie nakrywając dłonią pierś. - Mam nadzieję, że się mylisz. Inaczej to, co chcę zrobić, mogłoby ujsć za perwersję.

Zachichotała głośno.

- Skoro mówimy o martwych czy też czasowo niezdolnych do wykonywania zwykłych życiowych funkcji, nie sądzę, by to, co masz na myśli, było możliwe.

- Mmm - mruknął, naciskając na nią podbrzuszem. -Nie zdążyłem się tobą nacieszyć.

Zbyt długo cię pragnąłem. Musimy powtórzyć wszystko jeszcze raz, tylko znacznie wolniej. Zgoda?

- Wydaje mi się, że mimo wszystko przeżyłam. I może powinnam dać ci jeszcze jedną szansę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Później, kiedy leżeli jeszcze spleceni ciasno, syci i zadowoleni, Cassie zaburczało w brzuchu. Gideon usiadł.

- Chyba cię nakarmię. Muszę dbać o to, byś była w dobrej kondycji. Leż spokojnie - nakazał jej, wstając. - Teraz moja kolej przygotować dla ciebie posiłek.

- Dobrze - zgodziła się.

Wychodząc, włączył światło, dając jej szansę obejrzenia swoich wspaniałych nagich pleców. Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy Gideon chciał zrobić dla niej coś, co nie wiązało się z pieniędzmi.

Nie było go piętnaście minut. Dłużej niż wymagałoby tego zalanie mlekiem śniadaniowych płatków. To był dobry znak. Z drugiej strony piętnaście minut wystarczyło, by opadły ją wcześniejsze wątpliwości. Kochali się dwa razy. Dwa razy całkowicie straciła dla niego głowę. Gideon również poddał się emocjom. A jednak

zachował na tyle przytomności umysłu, by za każdym razem pamiętać o zabezpieczeniu. On naprawdę nie chciał ryzykować ciąży.

Wstrząsnął nią dreszcz. Musi mu powiedzieć. Zwłaszcza teraz, kiedy rzeczywiście zaczął jej ufać, nie może tak ważnego dla nich obojga faktu ukrywać w tajemnicy.

Gideon może czuć się złapany w pułapkę. Może nawet oszukany. Ale wtedy będzie to już jej zadaniem, by przedstawić mu wszystko w pogodniejszym świetle.

Kiedy Gideon powrócił z talerzem kanapek, butelką wina i kieliszkami, była gotowa wyznać mu swoją tajemnicę. Naprawdę.

- Mój ideał męczyzny - oznajmiła. - Nagi i przynoszący jedzenie. Zaś jeśli chodzi o jedzenie, które wiele prymitywnych szczepów kojarzy z płodnością...

- Później zajmiemy się twoimi fantazjami na temat pani i niewolnika - odrzekł, siadając na łóżku koło niej. Jego oczy spoglądały na nią uważnie. Czał się w nich smutek. - Cassie, jestem ci winien pewne wyjaśnienia.

Najwyraźniej on też wykorzystał ten czas na przemyślenia. Położyła rękę na jego ramieniu.

- Nic mi nie jesteś winien. Skrzywił się.

- Jestem ci winien o wiele więcej niż tylko wyjaśnienia, ale nie mam pojęcia, co zrobić z resztą. Nie - przerwał jej, kiedy próbowała coś wtrącić. - Chcę to powiedzieć. Spytałaś, dlaczego skłamałem, nie mówiąc nikomu o ojcu.

- Wszystkiego się domyśliłam - powiedziała łagodnie Cassie. - To twoja ciotka rozpuściła pogłoskę o jego śmierci, prawda? Ryan mówił mi wiele lat temu, że twój ojciec zginął w wypadku samochodowym, który spowodował jazdą po pijanemu. Czy... miał potem sprawę?

- Miał sprawę i trafił do więzienia - poinformował ją ponuro Gideon.

Westchnęła głęboko.

- Tak, cóż, wyobrażam sobie, że Eleanor jest raczej ambitna, prawda? Musiała bardzo przeżywać to, że ludzie wiedzieli o przywarach jej brata.

- Moja ciotka nie miała łatwego życia. Dlatego jest bardzo ambitna, wręcz obsesyjnie ambitna, jeśli chodzi o rodzinę. Stała się kimś w rodzaju eksperta amatora w dziedzinie genetyki. Szczególnie interesuje się teoriami na temat dziedziczności poszczególnych cech charakterologicznych. Widzisz, jej ojciec, ojciec mojego ojca, popełnił samobójstwo. Nagłe napady szału ich dziadka spowodowały kalectwo dwóch osób, a on sam został zamknięty w zakładzie specjalnym. Są też inne historie. Moja rodzina nie jest... normalna. - Jego rysy ściągnęły się. - Mój ojciec nie tylko rozbił samochód, kiedy tamtej nocy prowadził po pijanemu.

Zacisnęła palce na jego ramieniu. Gideon spoglądał przed siebie nie widzącym wzrokiem.

- Zepchnął z drogi inny wóz, który według niego jechał zbyt wolno. Kierowca, starsza kobieta, zmarła w szpitalu, w którym mój ojciec przeleżał jeden dzień z powodu lekkiego wstrząsu mózgu. - Umilkł, a potem dokończył bardzo cicho: - Był też z nim mój brat, Charlie. Miał siedem lat. Zmarł, zanim jeszcze dotarł do szpitala.

Gideon opowiadał jeszcze długo. Reszty była w stanie domyślić się sama.

Gideon opiekował się bratem. Odkąd umarła ich matka, gdy Gideon miał siedem lat, a Charlie dwa, Gideon troszczył się o Charliego. To on zaprowadził go do przedszkola po raz pierwszy. Uczył braciszka jazdy na rowerze i organizował lekarstwo o smaku winogron, kiedy Charlie zachorował, bo chłopiec nie chciał przełknąć nic innego.

Timothy Wilde był hulaką. Tygodniami, a nawet miesiącami potrafił nie tknąć alkoholu, a potem któregoś dnia zaczynał pić i nie potrafił już przestać. W pewien słoneczny październikowy poranek dwadzieścia dwa lata temu rzucił pracę i poszedł do najbliższego baru. Kiedy parę godzin później postanowił odebrać ze szkoły najmłodszego syna i zawieźć go do kina, był już pijany.

Cassie nie próbowała nawet walczyć z pogardą, jaką czuła względem Timothy'ego Wilde'a. Leżała przytulona plecami do śpiącego Gideona. Nie mogła zasnąć. Myślała o Eleanor i krzywdzie, jaką ta wyrządziła bratankowi. Cassie starała się usprawiedliwić jej zachowanie.

Nie chodziło tylko o kłamstwo. Ono, oczywiście, miało swoje konsekwencje. Wkrótce po wypadku Eleanor uznała, że najlepiej będzie, by wszyscy uważali ojca Gideona za zmarłego. Gideon nie protestował. W tym czasie zdecydowanie wolałby, żeby to ojciec, a nie ukochany brat, zginął w wypadku.

Kiedy Timothy Wilde wyszedł z więzienia, przyjął od siostry pieniądze w zamian za obietnicę zniknięcia z ich życia. Gideon przywykł do tego kłamstwa, które zarówno miało chronić ciotkę przed zmartwieniami, jakich mógł przysporzyć nieobliczalny brat, jak i później posłużyło Timothy'emu Wilde'owi do szantażowania syna.

Ale to nie kłamstwo było najgorsze. Eleanor z pewnością chciała jak najlepiej, przekonywała siebie Cassie. Trudno jednak było jej wybaczyć krzywdę, jaką ta kobieta wyrządziła dwunastoletniemu chłopcu, nieprzytomnemu z bólu i rozpacz. Ofiarowała mu dom i pewne poczucie bezpieczeństwa. W zamian zakazała wszelkich uczuć. Uczucia mogły ściągnąć na niego rodzinne szaleństwo.

Gideon bał się wzruszeń. Bał się miłości. Bał się ojcostwa, wierząc, że jego krew jest skażona.

Następnego ranka zwymiotowała.

Gideon był bardzo troskliwy i niczego nie podejrzewał. Kazał jej zostać w domu. Poczucie winy dręczyło Cassie. Postanowiła uzyskać całkowitą pewność, zanim przekaze Gideonowi swoją nowinę.

Pół godziny po wyjściu Gideona do pracy drżącymi palcami wykręciła numer telefonu. Ginekolog zgodził się przyjąć ją o jedenastej.

Jej ręka drżała, kiedy Eleanor Wilde odkładała słuchawkę o dziesiątej tego ranka. Nakazała sobie spokój. Pomału odzyskiwała kontrolę nad emocjami, wzburzonymi przekazanymi przez detektywa wieściami. Strach jednak pozostał. Po dzisiejszym dniu Gideon mógł ją znienawidzić. Wiedziała lepiej niż inni, jak trudno mu przebaczać. Sama kształtowała w ten sposób w jego charakter, nie chcąc, by był podatny na manipulacje ojca. Musiała pogodzić się z tym, że Gideon w mniejszym lub większym stopniu zwróci się przeciwko niej. Ale dla jego dobra nie mogła się teraz cofnąć.

Informacje detektywa dawały jej niepowtarzalną okazję. Prawdopodobieństwo, że Gideon jest ojcem dziecka Cassandry, było bardzo niewielkie. Jego żona utrzymywała ciążę w sekrecie. A tajemnica równała się poczuciu winy. Poza tym ta mała spryciara nie sypiała nawet ze swoim mężem. Detektyw ustalił ten fakt, korzystając z klucza, który mu dała.

- Proszę połączyć mnie z bratankiem - Eleanor zwróciła się do pani Pittinger.

Eleanor niechętnie dała detektywowi klucze. Ostatecznie okazało się to bardzo dobrym posunięciem. Detektyw kilkakrotnie sprawdził mieszkanie i założył podstuch.

- Gideonie - powiedziała Eleanor, gdy tylko usłyszała głos bratanka. - Pozwól, że pierwsza złożę ci gratulacje.

Był to jeden z tych cudownie słonecznych jesiennych dni. Cassie spoglądała w niebieskie niebo, na którego tle odcinały się ostatnie kępki złotobrazowych liści. Zastanawiała się, co przygotować na dzisiejszą uroczystą kolację. Przy świecach i dobrym winie postanowiła przekazać Gi-deonowi swoją nowinę. Sytemu i zadowolonemu łatwiej będzie pokonać początkowy szok i poczuć tę samą radość, która teraz wypełniała jej serce.

Wchodząc do salonu, układała w myślach listę zakupów, kiedy przywitał ją głos Gideona.

- Cassie.

- Och. - Wystraszona podniosła rękę do ust. - Co robisz w domu o tej porze? O, doktor Wilde - powiedziała, teraz dopiero zauważając stojącą kilka kroków za Gideonem kobietę. Udało się jej uśmiechnąć, choć Eleanor Wilde trudno byłoby wybrać gorszy moment na odwiedzin. - Miło mi panią widzieć. Napije się pani herbaty? Może przygotuję lunch? - Pora lunchu dawno minęła i żołądek Cassie dotkliwie przypominał jej o tym fakcie.

- Cassie - Gideon zwrócił się do niej z powagą. Ton jego głosu przeraził Cassie. - Moja ciotka przekazała mi pewne informacje. Chcę, żebyś im zaprzeczyła.

- Jakie informacje? - Miała wrażenie, jakby cały jej świat za chwilę miał lec w gruzach. - O co chodzi?

- Powiedziałam mu o twoim dziecku - oznajmiła spokojnie Eleanor. - O tym, które zapewne zechcesz mu wmówić.

- Moja ciotka wynajęła detektywa - ciągnął Gideon budzącym lęk Cassie głosem. - Według jego słów wracasz właśnie od lekarza, a o ciąży wiedziałaś już wcześniej. Cassie ogarnęła panika.

- Powiedz prawdę, Cassie - zażądał Gideon. Czy możliwe jest małżeństwo bez zaufania?

- Byłam dzisiaj u lekarza - oznajmiła spokojnie Cassie. - Potwierdził, że jestem w ciąży. I, Gideonie, dziecko jest twoje.

- Po jednej nocy? - szepnął. - Nie sądzisz chyba, że w to uwierzę? Jak mogłabyś wiedzieć, że jesteś w ciąży, kiedy minęło zaledwie kilka godzin?

Spodziewała się, że będzie zaskoczony, oczekiwała jego gniewu czy nawet wątpliwości. Nie spodziewała się rozpaczy. Sprawiał wrażenie człowieka, którego świat runął.

- To stało się nie wczoraj, lecz w naszą noc poślubną.

- Daj spokój, Cassandro - odezwała się Eleanor. - Twoje uparte obstawanie przy tym nonsensie czyni tylko całą sytuację trudniejszą dla was obojga. Jesteś atrakcyjną, młodą kobietą. Być może nie zamierzałaś naciągnąć Gideona na małżeństwo od razu, gdy zorientowałaś się, że jesteś w ciąży. Kiedy jednak zobaczyłaś go pijanego, nie wahałaś się długo, prawda?

- Nie - odparła stanowczo Cassie. - To perfidne kłamstwo. Nie możesz jej wierzyć, Gideonie.

- Zastanawiałam się, czy ojcem nie jest jakiś żonaty mężczyzna. To wyjaśniałoby, dlaczego nie zwróciłaś się do niego. Ale ten Armstrong wydaje się bardziej prawdopo-

dobną ewentualnością. Jest artystą, więc ma z pewnością mało pieniędzy i nie interesuje go rodzina. A jesteś z nim dłużej niż z którymkolwiek z twoich kochanków.

Cassie słuchała z niedowierzaniem. Potem roześmiała się.

- Mo? - spytała. - Nie chodzi chyba o Mo? Armstrong także się śmiał, przypomniał sobie Gideon

i powróciła do niego scena sprzed tygodni. Cassie siedząca na barkach tamtego mężczyzny, jego roześmiana twarz pomiędzy jej udami.

- Mój Boże - powiedział cicho.

Cassie położyła delikatnie rękę na jego ramieniu.

- Jeśli martwisz się swoim... genetycznym dziedzictwem, to nie rób tego. Twoje dziecko będzie zdrowe i normalne. Nie jesteś swoim ojcem, Gideonie.

Nie odzywał się. Nie mógł. Cofnął się jedynie. Wszystko wydawało się kłamstwem. Znów ogarnęła go rozpacz jak kiedyś, dawno. Ale wtedy dwunastoletniemu chłopcu przyszła z pomocą ciotka. Teraz także ona posługiwała się fałszem. Gratulowała mu dzisiaj, doskonale wiedząc, że dziecko nie może być jego.

- Musisz powiedzieć mi prawdę - zwrócił się do żony.

- W swoim raporcie detektyw sugeruje, że ty i ten Armstrong byliście kochankami od lat. Przeszłość nie ma znaczenia. Ale chcę znać prawdę.

- Raport? To nie był twój pomysł, prawda?

W jej głosie brzmiało niedowierzanie. Ale nie pozwoli, by wzbudziła w nim poczucie winy. To od Cassie oczekiwał wyjaśnień.

- Moja ciotka wynajęła detektywa.

- Przeczytałeś raport i uwierzyłeś mu. Nie mnie.

- Jeśli powiesz mi prawdę teraz, uwierzę tobie. - Tak bardzo chciał usłyszeć od niej coś, na czym mógłby polegać.

Spojrzała na niego pełnymi smutku oczami.

- Powiedziałam prawdę. Nie słyszałeś, co mówiłam? Potrząsnęła głową. Wydawała się bardzo zmęczona.

- Nietatwo jest mi zaufać. Ale inaczej nie mogę z tobą zostać. - Nagle zamilkła. - Będę u Mo - dodała cicho.

- Adres z pewnością znajdziesz w raporcie detektywa. - Odwróciła się i wyszła.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Siedem godzin po wyjściu Cassie Gideon siedział na jednej ze swych skórzanych kanap. Nie zadał sobie trudu włączenia lamp i ostre promienie zachodzącego słońca załały pokój krwawym blaskiem.

Obok niego leżał otwarty album. Nie opodal siedział brązowy pluszowy niedźwiadek z kraciastym krawatem. Przez ostatnie dwie godziny Gideon przeglądał zdjęcia, by przypomnieć sobie po raz kolejny, czego chciał od życia.

Odkąd za Cassie zatrzasnęły się drzwi, nie opuszczał go tępy, męczący ból, który nie pozwalał mu zebrać myśli, by nadać jakiś sens wydarzeniom ostatnich godzin. Skąd ten ból? Dlaczego nie potrafi myśleć logicznie? Zachowywał się jak okaleczone zwierzę, które wciąż na nowo rozdrapuje ranę. Przejechał nawet koło domu, w którym kiedyś mieszkała Cassie i w którym czekał na nią kochanek. Mężczyzna, którego wybrała. Jak zadurzony nastolatek siedział w samochodzie przed jej domem, patrząc w oświetlone okna, lecz nie zastanawiając się nawet nad tym, by pójść na górę i porozmawiać z Cassie. Choć tego właśnie pragnął najbardziej.

„Nie jesteś swoim ojcem, Gideonie”.

Co ona, u diabła, mogła o tym wiedzieć? Gideon podniósł się gwałtownie i zaczął wielkimi krokami przemierzać pokój. Ciotka znała go lepiej niż ktokolwiek inny, a jednak nie ufała mu na tyle, by wierzyć, że nie pójdzie w ślady ojca. Tak, czasami mówiła, że jest z niego zadowolona, a kiedy otrzymał dyplom z wyróżnieniem, oświadczyła nawet, że jest z niego dumna. A jednak śledziła każdy jego krok, podobnie jak inżynier w elektrowni atomowej nie spuszcza oka z liczników, by nie ryzykować katastrofy. Zamknął oczy i przytknął czoło do zimnej szyby. Jeśli fakty nie pasują do tego, o czym wiesz, że jest prawdą, to znaczy, że tracisz rozum, prawda? Chyba że... chyba że fakty są inne.

Jeśli pomylił się w swojej ocenie faktów, praktycznie zmusił Cassie, by odeszła. Jeśli się mylił... Cassie rzeczywiście nosiła jego dziecko.

Miał zostać ojcem.

Strach, niczym rozwścieczona bestia, znów chwycił go za gardło. Bestia z jego własną twarzą. „Nie jesteś swoim ojcem”.

Jeśli Gideon walczył w ciemności z najbardziej przerażającą ze swoich obaw, jeśli prawdą jest to, co powiedziała Cassie o dziecku, może w tym też mógł jej zaufać. Może ojcostwo nie musi zmienić go w jego ojca.

Może mógłby mieć dzieci. Czy jednak nie zawiódłby ich tak, jak zawiódł Charliego?

Obrócił się powoli. W gęstniejącym mroku z trudem rozróżniał kanciasty kształt albumu.

Nie było w nim zdjęć dzieci. Śluby, lecz nie chrzciny. Fotografie domów, ale nie rodzin.

Nieco dalej majaczył miękki kształt pluszowego misia. Śmiesznej, dziecinnej zabawki, którą Cassie podarowała mu tamtego dnia na jarmarku. Na chwilę jego wzrok zatrzymał się na tych dwóch przedmiotach.

Znał już odpowiedź na swoje pytania.

Cassie siedziała na drewnianych schodach prowadzących do mieszkania Mo. Sączyła z kieliszka sok pomarańczowy i wciąż, już od wielu godzin, toczyła spór. Na początku spierała się z Mo, ale kiedy jej przyjaciel wyszedł do sklepu, sama doskonale dawała sobie radę. Pomału jednak zaczynała zdawać sobie sprawę, że jest na straconej pozycji.

- Wcale go nie testuję - mruknęła, zwracając się do kieliszka. - Przyszłam do Mo, ponieważ Mo jest moim przyjacielem, a nie dlatego, że chciałam, żeby Gideon cokolwiek mi udowodnił.

Tak, i właśnie dlatego nigdy nie zadałaś sobie trudu wyjaśnienia mężowi, jakie są preferencje seksualne Mo.

- Ale Gideon powinien mi ufać. Powinien wiedzieć, że nigdy nie zrobiłabym tego, o co mnie posądza. - Jej oczy znów wypełniły łzy, po raz setny od chwili, gdy stanęła nieszczęśliwa i wściekła pod drzwiami Mo tego popołudnia. - Ten beznadziejny facet chce ode mnie dowodów prawdomówności, tak?

Wiedziała, że przemawia przez nią gniew. Testowała Gideona czy karała?

Jakiegolwiek były jej intencje, poniosła klęskę. Nie przyszedł. Powiedziała Mo, że posiedzi na zewnątrz, bo pogoda jest ładna, a nie dlatego, że czeka, by przyszedł Gideon i okazał, że zależy mu na niej i żałuje, że w nią zwątpił.

Cassie westchnęła i przyznała, że sama siebie oszukuje. Przyszła do Mo, a nie do Jayi czy Ryana, bo uznała, że Gideon nie zasługuje na nią, jeśli nie potrafi zaufać jej nawet wbrew wszystkiemu i wszystkim.

Nawet gdy zostawiła go, by zamieszkać z innym mężczyzną. Albo gdy twierdziła, że jest z nim w ciąży, choć wcześniej upierała się, że ich noc poślubna skończyła się całkowitym fiaskiem.

Jej gniew minął, pozostawiając po sobie jedynie żal i upokorzenie.

- Poradzę sobie - oświadczyła stanowczo. Jakoś żyła dotąd bez Gideona, a teraz będzie jej łatwiej, bo będzie mogła kochać dziecko... jego dziecko.

Płakała. Znów.

Zacisnęła mocno powieki, by powstrzymać łzy. Kiedy otworzyła je, stał przed nią

Gideon. Stał nieruchomo niczym senna zjawa, nie spuszczać z niej wzroku.

Zamrugnęła powiekami. Wciąż go widziała.

Pokonał kilka stopni, a ich głowy niemal się zetknęły. Spojrzał na nią uważnie i wtedy zobaczyła groźnie zmarszczone brwi.

- Płakałaś.

Wstała, by móc patrzeć na niego z góry.

- Nie.

- Owszem, tak. - Nagle znalazł się przy niej. Obejmował ją.

- Do cholery - zaklął, przytulając ją mocno. - Nigdy nie płacz przeze mnie. Nie jestem...

Och, Boże, Cassie. - Przyciągnął ją tak blisko, że musiała przechylić głowę, by widzieć jego twarz. - Nie jestem wart jednej twojej łzy.

Chciała zaprotestować, lecz ścisnął ją tak mocno, że pisnęła tylko cichutko.

- Przepraszam - mówił dalej. - Przepraszam, Cassie. Za wszystko. Za to, że zwątpiłem w ciebie. Że przeczytałem raport detektywa. Za to, że choć przez chwilę mogłaś myśleć, że pozwolę ci odejść.

- Czy to znaczy... - Musiała znaleźć w sobie odwagę, by zadać mu to pytanie. - Czy to znaczy, że wiesz, czyje noszę dziecko? Czy wierzysz mi?

Delikatnie otoczył dłońmi jej twarz.

- To znaczy, że cię kocham, Cassie. Kocham cię tak bardzo, że nie miałoby znaczenia, nawet gdyby było to dziecko innego mężczyzny. Ale tak. Wierzę ci.

Wspięła się na palce i odnalazła jego usta.

- Może - powiedziała kilka chwil później - powinniśmy wrócić do domu.

- Dom - powtórzył. Tym razem brzmiało to inaczej niż dotąd. - Tak, wracajmy do domu, Cassie.

- Powinam zostawić wiadomość dla Mo.

- Nie musisz. Zmarszczyła czoło.

- Będzie się martwił. Poszedł do sklepu, ale w każdej chwili może wrócić i...

- Nie, nie wróci. Chyba że zobaczy, że my wychodzimy. - Uśmiechnął się. - Spotkałem go na parkingu. Zajęło to chwilę, ale przekonałem go, by pozwolił mi porozmawiać z tobą bez świadków. - Potarł policzkiem ojej włosy. - Czeka na dole, gotów sprać mnie porządnie, gdybym cię skrzywdził, albo pomachać nam na pożegnanie.

- Jeśli chodzi o naszą noc poślubną... - zaczęła skruszona.

Gideon zachichotał.

- Skłamałaś, prawda? Uniosła nieśmiało głowę.

- To było jedyne logiczne wyjaśnienie. Twarz Cassie rozjaśniła się.

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Tak?

- Kocham cię - oznajmiła radośnie.

- Wiem o tym.

EPILOG

Cassie budziła się powoli. Powoli, lecz nie z niechęcią. Delikatne, męskie palce pieściły jej piersi. Ponad szerokimi barkami, które częściowo zasłaniały jej widok, blade, złociste kolory luksusowego apartamentu mieniły się delikatnym blaskiem w pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

- Kareta Kopciuszka - powiedziała rozmarzona.

- Hmm? - Gideon nie wydawał się zainteresowany rozmową. Wolał dalej celebrować ich noc poślubną.

Ich drugą noc poślubną, a było to po upływie prawie sześciu miesięcy od daty ślubu.

- Nasz apartament - ciągnęła, zaciskając ramiona wokół jego szyi - przypomina karetkę Kopciuszka. Złoto i kość słoniowa. - Podobnie jak popiersie pirata, które zdobiło wezgielnie łóżka, i jej bukiet, ten sam, który ofiarowano jej za pierwszym razem, tylko teraz kruchy i wysuszony, zaczepiony na rzeźbionej nodze łóżka.

Przyglądał się jej z uwagą.

- Czy to dobrze? Mówiłaś, że powinniśmy wynająć ten sam pokój.

- Och, bardzo dobrze - zapewniła go wesoło, przyciskając rękę do jego torsu. - I jak - spytała z uśmiechem - twoja pamięć dziś rano? Czy przypominasz sobie cokolwiek?

- Czuję się trochę zamroczony. - Pocałował ją w szyję.

- Może mogłabyś mi trochę pomóc.

- Cóż - westchnęła, przesuwając rękę niżej. - Skoro muszę. W którymś momencie zrobiłam tak.

Z jego gardła wyrwał się pomruk zadowolenia.

- Pamiętasz? - spytała z uśmiechem.

- Przekonajmy się - zaproponował, odrzucając kołdrę.

- Czy było to przedtem, czy po tym, jak zrobiłem to? - zadał pytanie, przykładając usta do jej piersi.

Wilgotnym językiem wędrował po jej wydatnym brzuchu, wzbudzając przyjemne dreszcze.

- Co ty robisz... - zawołała, chwytając go za włosy.

- Jesteś pewien, że to zrobisz? - Ciężarnej kobiecie?

- Cóż - zastanowił się, podciągając jej kolana, a potem rozsuwając je na boki. - Może raczej zrobiłem to. - I pocałował ją tam. Dokładnie tam.

Cassie zapomniała o wszystkim. Absolutnie o wszystkim, z zachwytem podążając za nim na sam szczyt, by na chwilę zatracić się w niebycie. Gdy pulsowała jeszcze rozkoszą, wniknął w nią i zaczął poruszać się słodkim, powolnym rytmem. Tym razem oboje pograżyli się w miłosnym zapomnieniu.

Przez rozsunięte zasłony zalewało pokój światło nowego dnia. Uśmiechając się, Gideon uniósł do ust rękę Cassie.

- Moja żona - powiedział cicho, całując złotą obrączkę, którą włożył jej na palec pięć miesięcy, trzy tygodnie i dwa dni wcześniej.

Jej serce zabiło gwałtownie. Gideon wykonał ten sam gest poprzedniego dnia, kiedy w jednej z kaplic Las Vegas odnawiali małżeńskie przysięgi.

- Tą obrączką poślubiłem cię - powiedział i pocałował złoty krążek, nie chcąc, by zdejmowała go nawet na czas ceremonii. A potem mówił dalej: - Ta obrączka niech będzie znakiem mojej miłości, wierności i zaufania.

- To był piękny ślub - szepnęła.

Gideon bardzo pragnął drugiego ślubu i nocy poślubnej, nie chciał jednak, by nowa ceremonia zastąpiła starą. Nie, chciał tylko powtórzyć wszystko raz jeszcze, by niczego tym razem nie zaniedbać.

Cassie nie protestowała, uznając, że Gideonowi też należy się ślub, który mógłby wspominać.

Do Las Vegas przyjechał z nimi również Ryan, ale tym razem nie był jedynym gościem. Gośćmi panny młodej byli Jaya i Mo, a pana młodego pani Pittinger i Eleanor.

Eleanor pogodziła się ze ślubem bratanka, jeśli wręcz nie była z tego powodu bardzo zadowolona. Bardzo też zależało jej na utrzymaniu z Gideonem jakiegokolwiek kontaktu. Cassie nie potrafiła długo zachowywać w sercu urazy i dawno już jej przebaczyła.

- Czy czuje się pani dobrze, pani Wilde? - spytał Gideon, znów nakrywając dłonią jej pierś.

- Nieźle - zapewniła go. Zmarszczył brwi.

. - Nie byłem zbyt niedelikatny, prawda? Doktor powiedział, że możemy się kochać.

Cassie była przyzwyczajona do nadopiekuńczości Gideona.

- Nic mi nie jest. - Przyłożyła rękę do brzucha w miejscu, gdzie nieoczekiwanie kopnęła mała stopka. - Ja i Archie mamy się dobrze.

- Lucy - poprawił ją z uśmiechem. - Otoczył jej brzuch mocnymi, ciepłymi palcami. - Cassie...

Nakryła dłonią jego rękę.

- Powiedz mi jeszcze raz. Sądzisz, że będę dobrym ojcem?

- Wspaniałym - zapewniła go z przekonaniem. - Cudownie opiekowałeś się Charliem.

Nie byłeś winny wypadku. Będziesz umiał kochać i troszczyć się także o nasze dziecko.

- To prawda, opiekowałem się nim. Przynajmniej starałem się. - Delikatnie gładził jej talię. - Charlie był pogodnym, szczęśliwym dzieckiem. Eleanor nie miała racji, twierdząc, że na mężczyznach z rodu Wilde'ow ciąży ponure piętno.

- Oczywiście, że nie - odrzekła Cassie. Dokładnie w tym momencie palce Gideona odnalazły kępkę ciemnych włosów pomiędzy jej udami.

- Będę chciał mieć więcej dzieci - oświadczył. - Na szczęście masz niezwykłą łatwość zachodzenia w ciążę. Ile dzieci chcesz mi urodzić, Cassie?

- Dużo - odparła instynktownie, kiedy jego palce poruszyły się delikatnie. - Ale może powinniśmy trochę poćwiczyć... Gideonie? Nie możesz być jeszcze gotów.

- To prawda - mruknął, przyciskając usta do jej szyi.

- Jesteś... o, tak. W pewnym sensie wykorzystałam cię, kiedy byliśmy tutaj pierwszy raz.

- I całe szczęście - powiedział. - Gdybyś tego nie zrobiła, mógłbym poślubić niewłaściwą żonę.